

# NA WIEŻY

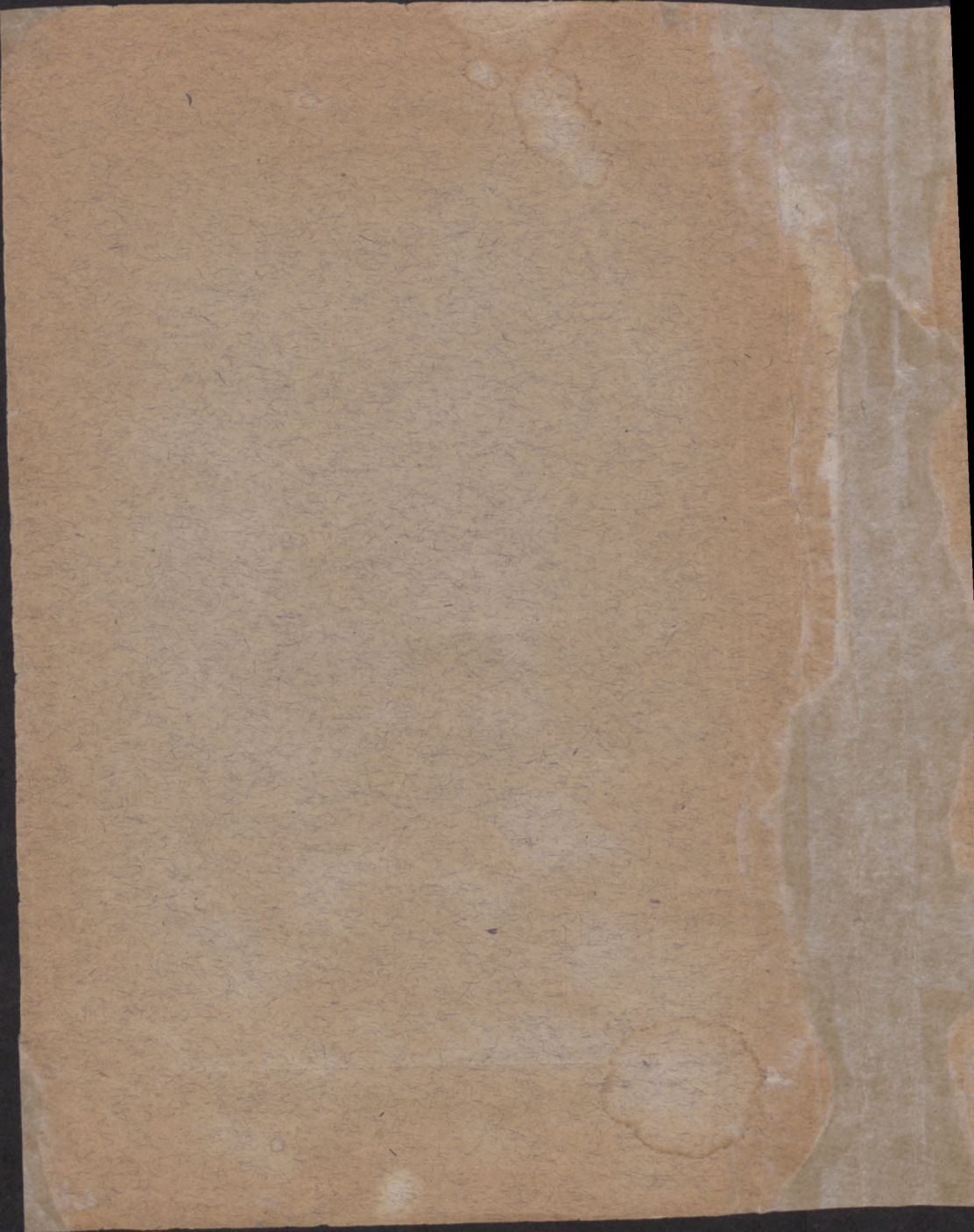
POWIEŚĆ NA TLE ŻYCIA PARYSKIEGO

PRZEZ FORTUNE DU BOISGOBEY

TŁÓMACZYŁ Z JEZYKA FRANCUSKIEGO K. W.



A. A. PARYSKI  
TOLEDO, O.





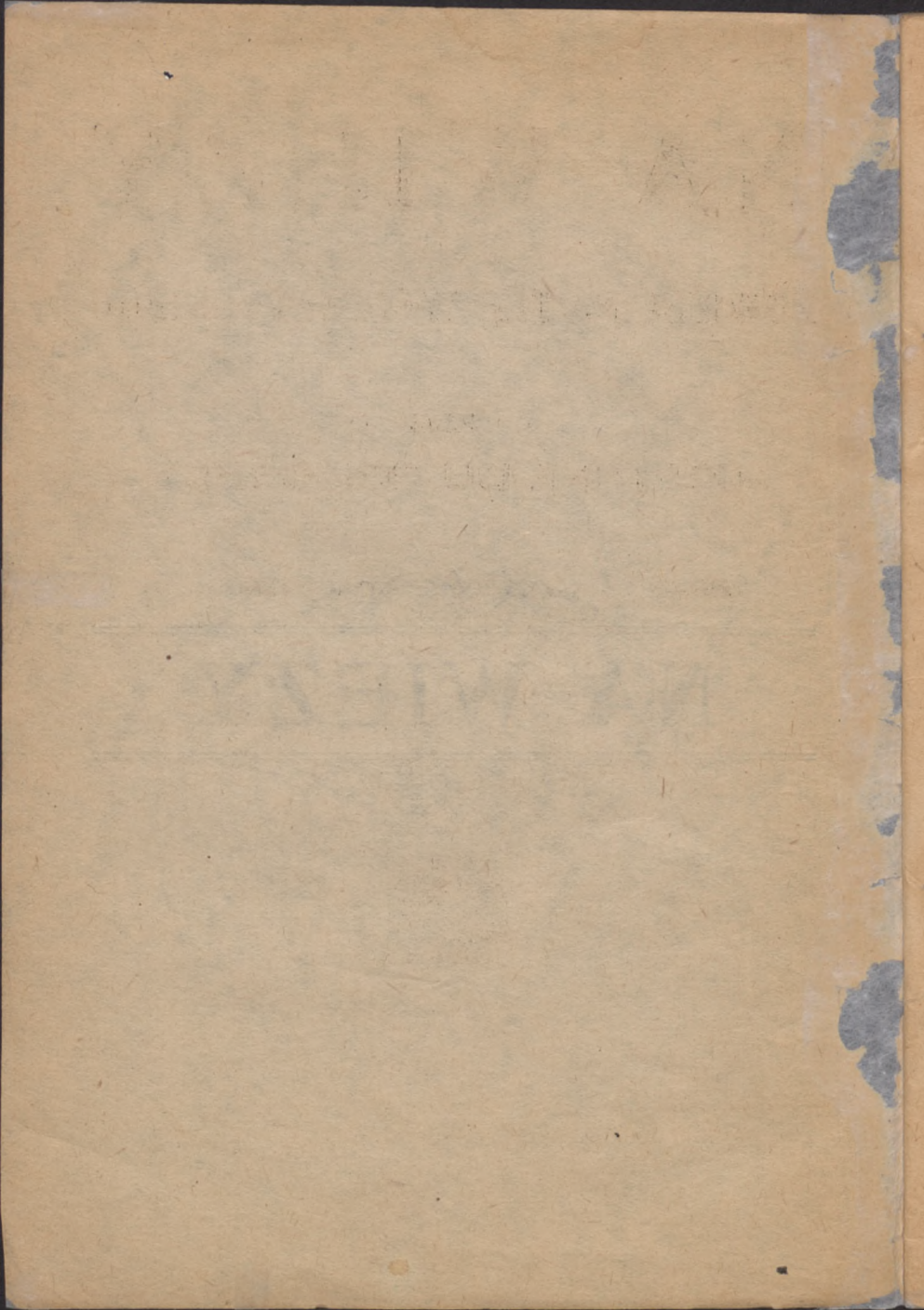


---

**NA WIEŻY**

---







2413047

# NA WIEŻY

POWIEŚĆ NA TLE ŻYCIA PARYSKIEGO

— PRZEZ —

FORTUNE DU BOISGOBEY

TŁMACZYŁ Z JĘZYKA FRANCUSKIEGO K. W.



*J. Skikiewich*

IN A WISZY

FOR THE YEAR 1910

FORTUNE OF BOISBOY

THE YEAR 1910

1264882

D 200/16



# I

W roku 1874 był jeszcze w pobliżu kościoła Notre-Dame w Paryżu stary szpital, zwany "Hotel-Dieu", dziś już zburzony. Było odwiecznym zwyczajem, że zgromadzały się przed nim spore zastępy ciekawych w tym czasie, w którym chorych przyjmowano. Stało się to pewnego rodzaju widowiskiem, na które spoglądano z okien przyległych domów; niekiedy nawet i mieszkańcy szpitala wychylali się z zaciekawieni z okien i czynili różne obserwacje.

Pewnego pięknego dnia na wiosnę, gdy złocista pogoda rozsiała się nad Paryżem, spoglądało z okien szpitala dwóch ludzi na to zwykle zbiegowisko. Młodszy z fajką w ustach, mający piękne, duże czarne oczy, tkwiące w twarzy cokolwiek bladej mężczyzna niepospolitej urody, nazywał się Eduard Daubrac i był lekarzem-asystentem w szpitalu. Drugi, znacznie starszy, liczący już około czterdziestu lat, był bardzo szczupły, twarz miał kościstą, zapadłą, wąsy olbrzymie, oczy rozmarzone, postawę żołnierską. Był to baron Merdier-Avens-Conan de Mariadec.

Mimo różnicy wieku byli ze sobą w bardzo serdecznej przyjaźni, jakby dla stwierdzenia tego, że często przeciwne usposobienia, najchętniej z sobą się kojarzą, ażeby wzajemnie się uzupełniać. Dr. Eduard Daubrac—pochodził z Gaskonii i posiadał też właściwą Gaskończykom dobroć serca i skłonność do idealizmu. Baron de Meriadec pochodził z Bretanii, miał też usposobienie prawdziwego Bretończyka, rycerskie, nieco zawadyackie i upodobanie w szukaniu przygód. Jeszcze w czasach akademickich zwali go koledzy bretańskim Don-Kichotem.

Spoglądali przez okno, rozmawiając swobodnie, bo doktor Daubrac miał właśnie czas niczem nie zajęty i wypoczywał po mozolnych trudach, jakich zwykle doznaje asystent lekarski w szpitalu.

—Patrz no Meriadec,—rzekł Daubrac,—widzisz tam a-

niola z pod wielkiego dzwonu? Skąd ona wraca? A, pewnie kupowała kwiaty, bo oto niesie wiązanek fiołków.

—Któryż to ten anioł? Czy to może ta dziewczyna co zdążyła ku kościołowi,—zapytał Meriadec.

—Ma na plecach zarzuconą chustkę szkocką, a na głowie koronkową. Urocza blondynka. Przypatrz jej się dobrze, czy widziałeś w swojej Bretanii—taką cudowną twarzyczkę?

Meriadec ujął lornetę teatralną, którą zawsze przy sobie nosił—zawieszoną na rzemieniu, jak podróżujący Anglik, kierował ją ku dziewczynie, a potem rzekł:

—Istotnie, urocze stworzenie. Dlaczego nazywasz ją aniołem z pod wielkiego dzwonu?

—Pwszechnie ją tak nazywają, dlatego, że jej ojciec jest strażnikiem na wieży Notre Dame.

—Czy ona cię bardzo zajmuje?

—Nie przeczę.

—Może masz jakie zamiary?

—Gdybym jakie mógł powziąć, to tylko poważne i uczciwe.

—A czyżby na to zasługiwała?

—Jestem tego pewien. Jest piękna, ma lat dziewiętnaście, uboga, a jednak na prawdę, istotnie, skromna i uczciwa.

—O, widzę, że starałeś się ją poznać.

—Nie przeczę. Miałem sposobność widzieć ją tu w szpitalu, gdy przychodziła pielęgnować swoją matkę która niestety umarła. Dowiedziałem się, że właściwie swoją pracą utrzymuje ojca i siebie. Ojciec pobiera wprawdzie wystarczającą płacę, ale po śmierci żony popadł w taki ciężki żal, że się rozpił zupełnie i wszystkie swe dochody przepija. Córka wyrabia sztuczne kwiaty i z tego płynie właściwie jedyny fundusz na utrzymanie obojga.

—Czy ona także mieszka na wieży z ojcem?

—A, tak. I to na wysokości, do której trzeba się spinać po kilkuset schodach. Mieszkanie tam takie, że każdy z nas po 48 godzinach dostałby w niem obłądu, albo zostałby somobójcą, a ona wesoła zawsze, pogodna, śpiewa w tej norze, jak wesoły skowronek.



Dziewczyna skrzyła w ulicę—poza kościół i znikła im z oczu.

—Co za szkoda—rzekł baron,—że jej się dłużej przypatrzeć nie mogłem.

—Założyłbym się—odpowiedział doktor,—że cię w tej chwili zbiera ochota pogonić za nią, czuwać, aby jej ktoś nie zaczepił i w razie potrzeby stanąć po rycersku w jej obronie.

—Nie byłoby w tem nic dziwnego, zwłaszcza po tem, co o niej powiedziałaś. Takie młode dziewczę może istotnie stać się pastwą natrętnego niegodziwca. Nie jestem wcale świętoszkiem, jednak oburza mnie zawsze niegodziwość tych drapieżników, co bez sumienia i rozwagi łamią życie takim niewinnym istotom. Śmiejecie się nieraz ze mnie, że poświęcam tyle czasu na wyszukiwanie sposobności, żeby ochraniać biedne dziewczęta od niebezpiecznych napaści, a jednak jakie to miłe! Powiem ci szczerze, że tem przeważnie wypełniam sobie życie. Może to ideał za drobny, ale przecież ideał.

—Ja chyba nigdy się z ciebie nie śmiałem, bo zgadzam się najzupełniej na to, że człowiek, co w jakikolwiekby sposób wkrada, się czy to w serce kobiety, czy tylko w jej nerwy—po to jedynie, aby zaspokoić chwilową żądzę, jest zwykłym rzezimieszkiem. Ta między nimi różnica, że jeden wyrывa ci złoty zegarek z kieszeni i pugilares z pieniędzmi, a drugi cnotę, a może i szczęście całego życia. Który z nich większym jest zbrodniarzem? Za zrabowanie zegarka zyskuje się piętno złodzieja i karę więzienia, a niestety za złamanie życia niekiedy całej rodzinie, zyskuje się rozgłos bohatera. Ale o aniola z pod dzwona możemy być spokojni. Tyle w tem dziewczęciu charakteru, tyle energii, że obejdzie się bez rycerskiej obrony.

Jak w kalejdoskopie nabierał ruch uliczny coraz innych kształtów, coraz innego zabarwienia. Zmieniały się też gromady ciekawych, wyczekujących pod szpitalem. Obaj przyjaciele wciąż z zajęciem przypatrywali się temu ruchowi.

—Pacz, Pacz,—rzekł doktor, jakaś młoda para zdążyła ku kościołowi. To niezawodnie para bardzo zakochana, a kryjąca się z miłością.

—Skądże takie przypuszczenie?

—Ależ Don-Kichocie kochany, jesteś przecież znakomitym obserwatorem, więc powinieneś sam rzecz odgadnąć. Przypatrz że się. Ona zakryta niebieskim welonem tak gestym, że jej twarzy wcale poznać nie można, przytem widoczna jest jakaś bojaźliwość w jej chodzie i zachowaniu się, a to dowodzi, że pragnie, aby jej nie poznano. On nasunął kapelusz na oczy, opuścił głowę na dół, jakgdyby unikał wejrzenia ludzkiego, co znowu dowodzi, że ma nieczyste sumienie i że jego stosunek z tą damą jest owocem zakazanym.

—Doskonałe spostrzeżenia. Gdybyś nie był znakomitym lekarzem, mógłbyś zostać niepospolitym detektywem.

—To nie koniec. Przypatrz się, jak idą z niejakim wahaniami, jakgdyby nie byli zdecydowani, gdzie szukać spokojnego kącika dla miłosnej schadzki. Należą też oboje do najlepszego towarzystwa, o czem świadczą ich dystyngowane ruchy i wykwinne ubranie. Oto skręcili już w uliczkę poza kościół. Może szukają na wieży spokojnego sam na sam.

—O, to byłoby wcale oryginalne.

—Nie tak bardzo, jak ci się zdaje. Miałem już nieraz sposobność, czynić podobne spostrzeżenia; niema prawie dnia, żeby jakaś erotyczna para nie wspinała się w te wysokie przestworza. Wyobraź sobie—jak to musi być poetycznie, spoglądać z takiej wysokości na tłum uliczny, a być niewidzianym i wyobrażać sobie, że się buja z ukochaną na skrzydłach miłości—daleko od ziemi, a bliżej słonecznych blasków.

—A więc lorneta w górę. Jeszcze nie widać nikogo.

—Mam wielką ochotę wyplatać im figla i pójść za nimi na wieżę.

—Po cóż im przeszkadzać?

—I ty Don-Kiszocie, obrońco zagrożonej enoty, rycerzu gotowy kruszyć kopię w obronie moralności, ty nie chcesz przeszkodzić takiej schadzce? Pomyśl tylko, że to niezawodnie żona zdradzająca męża z jakimś przyjacielem domu, a może i mąż zdradzający żonę—z jej najlepszą przyjaciółką. Przytem miałbyś sposobność zobaczyć anioła z pod dzwonu.

—Jak ona się nazywa?



—Rozalia Verdier. Czy dlatego się pytałeś, że odezwały się w tobie arystokratyczne uczucia? Otóż powiem dla pociechy twojej baronowskiej godności, że dzwonnik Verdier—jest właściwie de Verdier, że jest szlachcicem z Prowansalii. Rodzina zubożała, wykształcenia wyższego nie otrzymał, wstąpił do wojska, potem ożeniwszy się z głęboką miłością, z wojska wystąpił i przyjął posadę dzwonnika, dlatego jedynie, ażeby z żoną uciec jaknajdalej od ludzi.

—Bardzo się z tego cieszyła, bo i ona również w mężu i dziecku widziała świat cały.

—Bywają jeszcze w Paryżu prawdziwe cnoty małżeńskie.

—No chodź nudziarzu. Pójdziemy na wieżę i zobaczymy pannę Rozalię de Verdier.

—Przecież nie wejdziemy do jej mieszkania.

—Tego wcale nie potrzeba. Na trzecim piętrze jest krata zawsze zamknięta. Kto chce iść na wyższe piętra wieży, musi u kraty zadzwonić, a zwykle otwiera panna Verdier, bo ojciec albo wpatruje się w fotografię swej żony, przyciska ją do ust i modli się za nią, czy do niej, czego córka przerywać mu nie chce, albo też nieszczęśliwiec leży pijany.

—A jeżeli ta para nie poszła na wieżę, to szkoda trudu.

—W takim razie skorzystamy bodaj tyle, że nam przechadzka zaostrzy apetyt.

Poszli. Gdy stanęli na placu, doktor spojrział w górę, ku wieży.

—A co? czy nie miałem słuszności? Widzisz Don Kiszotcie tam na górze? W otworze tuż nad gzemsem niebieski welon, to nasza tajemnicza dama. Patrz, wiatr welon unosi, twarz się odsłoniła, kieruj lornetę, przypatruj się dobrze i powiedz, czy piękna?

Meriadec skierował szybko lornetę, ale w tej chwili dama zniknęła, a również i jej towarzyszy.

Zaćmienie słońca—rzekł śmiejąc się Meriadec.

—Chodźmy je zbliżka podziwiać. Ale patrzno w górę, pokazała się na balkonie u szczytu wieży.

—Widzę ją. Ależ to umiała pędzić na górę, że w tak krótkim czasie wspięła się już tak wysoko. To pewnie jakaś

angielska lady, bo tylko Angielki skaczą jak kozy po cztery schody naraz. Z jakąż to oni przyjemnością podziwiają z tak wysoka panoramę miasta. Już ich nie widać; pewnie teraz się cofnęły w zakątek wieży, żeby używać samotności. No chodźmy już.

Meriadec schował lornetę do futerału, przyspieszyli kroku, skręcali już w uliczkę gdy usłyszeli krzyki zbiegowiska z drugiej strony wieży.

—Musiało się stać jakieś nieszczęście—rzekł lekarz i pobiegł ku zbiegowisku. Meriadec pospieszył także. Zanim się przez tłum przecisnęli, obijały im się o uszy różne wykrzykniki: “musiała być bardzo bogata”, “ta się z nędzy nie zabiła”, “może ją kto strącił”.

Daubrac utorował sobie drogę przez tłum, wołając na wszystkie strony, że jako lekarz spieszy na ratunek; Meriadec zdążył za nim. Zobaczyli straszny widok. Na bruku leżało strasznie pokaleczone ciało kobiety. Czaszka rozpadła się w kawałki, twarzy nie było można poznać. Daubrac posłał do szpitala po mary i wezwał policję. Zanim mary przyniesiono i policja się zjawiała, przyjaciele zamienili kilka słów ze sobą:

—Mnie się zdaje, że to ona—rzekł Daubrac. Ubrana równie elegancko, równie bogato, tylko brak niebieskiego welonu. Zapewnie wiatr go uniósł, gdy z wieży spadała.

—A gdzie jej towarzysz?—szepnął Meriadec.

—Na żaden sposób nie mógł jeszcze przybyć, ale lada chwila zobaczymy go tu w rozpacz. Policj, po ilu schodach pędzić musi na dół.

—Czy to morderstwo, czy też samobójstwo?—szepnął Meriadec.

—Jeżeli morderstwo, towarzysza nie zobaczymy, jeżeli samobójstwo, niebawem tu się zjawi. Mnie się zdaje, że to samobójstwo. Prawdopodobnie dowiedziała się, że będą musieli zerwać stosunek miłosny, albo może posprzeczali się z sobą. U kobiet zakochanych objawia się w takich wypadkach nagle tak silne wzburzenie, że tracą panowanie nad sobą i popadają w rozpacz. Morderca miewa tysiące innych sposobów dokonania zbrodni, a zawsze unika oka ludzkiego i rozgłosu.



Zjawia się wreszcie policya, przyniesiono też mary ze szpitala. Zanim przystąpiono do podniesienia zwłok, usłysza no zdaleka krzyk męskiego głosu; wszyscy zwrócili się w tę stronę, z której głos dochodził. Zobaczono biegnącego młodego człowieka, w czerwonej czapce; wywijał rękoma, jakby chciał jakieś znaki dawać, wreszcie zdyszany przy padł do komisarza policyi i zawołał:

—Po co panowie tu stoicie? nie wskrzesicie zabitej, a tymczasem morderca ucieknie.

—Co morderca?—zawołał Daubrac i Meriadec równo-  
cześnie.

—Oczywiście, morderca, nikczemnik, który tę kobietę stracił z więzy.

—Skąd pan wiesz o tem—zapytał komisarz policyi.

—Bo widziałem na własne oczy. Stałem po tamtej stro-  
nie rzeki i spoglądałem na wieżę, bo jej nie widziałem jesz-  
cze w tem oświetleniu. Nagle zjawia się na szczycie jakiś  
mężczyzna z kobietą, chwytą ją prędko za nogi, podnosi w  
górze i rzuca na dół.

—Niezwykły pan masz wzrok—rzekł komisarz ironicz-  
nie.

—Istotnie, że mam niezwykły. Szkoda czasu na gada-  
nie, biegnijmy czempredzej, morderca jeszcze nie mógł zejść  
na dół, chwycimy go na schodach.

—Bardzo słusznie—wtrącił Daubrac—gdyby to nie by-  
ło morderstwo, tylko samobójstwo to i tak należałoby prze-  
słuchać osobę, która była przy tem obecna.

Jeżeli pan nie pospieszysz natychmiast—wołał młody  
człowiek w czerwonej czapce do komisarza—to sam pobiegnę  
i owego draba pochwycę.

—Proszę mi żadnych nie udzielać poleceń—ja wiem  
sam, co jest moim obowiązkiem, a przedewszystkiem obowią-  
zany jest zapytać pana, kto pan jesteś.

—Nazywam się Jean Fabreguette, jestem malarzem i  
mieszkam w ulicy Huchette pod liczbą 19.

—A ja, dodał Daubrac, jestem lekarzem asystentem w Ho-  
telu Dieu, a to mój przyjaciel, baron Meriadec. Myśmy wi-  
dzieli wchodzące dwie osoby na wieżę, z których tu jedna

przed nami zabita, a mężczyznę, który szedł z tą nieszczęśliwą poznamy.

Komisarz policji uległ wreszcie naleganiu, odesłał zwłoki na marach do szpitala, a sam udał się ku wieży. Fabreguette, Daubrac i Meriadec udali się z komisarzem, a za nimi, jak zwykle w takich wypadkach, ogromny tłum gawieździ. Komisarz ustawił straż u wejścia na wieżę, a sam z malarzem, baronem i doktorem poszedł na górę. Zadzwoniono na trzecim piętrze u kraty i wnet ukazała się na korytarzyku, wiodącym do mieszkania dzwonnika, piękna Rozalia.

—Czy panowie chcą wejść na wieżę?—zapytała miękko, dźwięcznym głosem.

—Proszę drzwi otworzyć i zawołać tu ojca,—rzekł komisarz opryskliwie.

—Mój ojciec jest chory.

—Aha! Znamy się na jego chorobie. Pewnie znowu pijany. Czy tak, czy owak, muszę z nim pomówić!

Różia otworzyła kratę, komisarz wszedł do mieszkania dzwonnika, a lekarz, baron i malarz pozostali w korytarzu.

—Jak się pani miewa, panno Rozalio,—zapytał Daubrac.

—Dziękuję panu konsyliarzowi. Czy wolno mi zapytać, w jakim celu przybyli tu panowie z komisarzem policji?

—Szukamy tu pewnego pana, który przed dwudziestu minutami wszedł tu na wieżę w towarzystwie kobiety.

—Właśnie wtedy wróciłam do domu.

—Czy pani widziała ich obydwoje?

Tylko w przelocie. Mój ojciec jest niezdrów, więc zostawił kratowe drzwi otworem, aby nie wstawać z łóżka i co chwilę nie otwierać ich wchodzącym. Ci państwo weszli na wieżę, nie zatrzymując się przy kracie, którą dopiero potem sama zamknęłam. Obecnie znajdują się na wieży.

—Niestety myli się pani, bo owa kobieta rzuciła się na bruk i zabiła, albo ją też strącono.

—Święty Boże!

—Teraz pani pojmie, dlaczego szukamy owego pana, który z tą nieszczęśliwą wszedł na wieżę.

Zanim dziewczyna zdołała jeszcze coś przemówić, prze-



rażona tą wiadomością, wypadł komisarz z mieszkania dzwonnika i zawołał opryskliwie:

—Wiedziałem z góry, że Verdier znowu pijany. Już tego za wiele. Wieży nie pilnuje, drzwi nie zamyka, każdy może tu wchodzić i wychodzić według upodobania. To się musi skończyć.

—Niech pan komisarz raczy uwzględnić, że mój ojciec jest bardzo nieszczęśliwy.

—Oceniam bardzo troskliwość pani o ojca, ale nie mogę sprzeniewierzyć się mojemu obowiązkowi.

Usłyszano stąpanie po schodach. Były to kroki męskie, lekkie i spokojne, jakby szedł człowiek, któremu się wcale nie spieszy. Komisarz szepnął Rózi, ażeby odeszła do mieszkania, towarzyszy swoich ustawił na platformie, a sam wyszedł na schody. Za chwilę spostrzeżono schodzącego z góry mężczyznę, który na widok komisarza zatrzymał się jakby zamierzał zrobić mu miejsce i przepuścić koło siebie. Daubrac i Meriadec poznali go natychmiast. Był to towarzysz damy z niebieskim welonem, mężczyzna okazałej postaci, a mimo młodości pełen powagi i dystynkcji. Gdy widział, że komisarz nie rusza się z miejsca i stoi uparcie na środku schodu, spojrzął nań niecierpliwie, widocznie rozdrażniony tem, że mu ktoś drogę zastępuje.

—Komisarz podniósł ku niemu głowę i rzekł tonem ostrym:

—Proszę pana bliżej.

—Nie rozumiem pańskiego żądania. Zapewne pomyliłeś się pan co do osoby—odpowiedział nieznajomy dumnie i stanowczo.

—Wzywam pana w imieniu prawa, abyś pan natychmiast zbliżył się do mnie

—Jeżeli tak, jestem prawu posłuszny. To rzekłszy nieznajomy zeszedł szybko i stanął przy komisarzu.

Udali się wszyscy do mieszkania dzwonnika, gdzie komisarz zadał na wstępie nieznajomemu pytanie:

—Pan wyszedłeś na wieżę w towarzystwie kobiety, nieprawdaż?

Nieznajomy zbladł cokolwiek, ale odpowiedział niedbale;

—A cóż to przedstawiciela policji obchodzić może?

—Zapewne mnie obchodzi, jeżeli się pytam. Ci oto panowie widzieli pana, wchodzącego w towarzystwie kobiety na wieżę. Widziała też ta oto panienska.

—Nie przeczę.

—Ddzie się towarzyszka pańska podziiała?

—Odeszła.

—Sama?

—Tak.

—Wątpię.

—Proszę iść na górę i przekonać się.

—To zbytuczne. Wiemy gdzie jest i zaraz pana do niej zaprowadzimy.

Nieznajomy drgnął niespokojnie i widać było u niego nie małe zakłopotanie, ale opanował się prędko i rzekł spokojnie:

—Zdaje mi się moi panowie, że stroicie sobie jakieś niewłaściwe żarty. Proszę mówić wyraźnie i jasno, czego właściwie odemnie żądacie.

—Natychmiast dowie się pan o wszystkim, teraz proszę iść naprzód.

—Ustępuję przemocy, zwracam atoli uwagę panu na to, że we właściwem miejscu wniosę zażalenie. Pan dopuszcza się wobec mnie nadużycia władzy urzędowej. Dokąd chcesz mnie pan zaprowadzić?

—Do Hotel-Dieu.

—Do Hotel-Dieu?!—zawołał nieznajomy.—Czy przytrafiło się jej jakie nie nieszczęście?

—Szczególnie, że pan o tem nie wiesz—rzekł komisarz ironicznie.

—Nie wiem i dlatego się pytam—mówił nieznajomy tonem energicznym.

—Dajże pan już spokój tej komedyi. Pan najlepiej wiesz o tem, co się stało.

—Pozwól pan w zamian się prosić, abyś mnie nie dręczył temi zagadkami, a pozwolił natomiast, abyśmy przyspieszyli kroku, bo chciałbym ją zobaczyć jak najprędzej.

—Tak bardzo się panu spieszy? Szczególnie. Zaraz pójdziemy.

Jakoż udano się w pochód. Nieznajomy szedł przodem,



a komisarz postępował tuż za nim. O ile z początku nie chciał mu pilno spieszyć na wieżę, bo był przekonany, że nieszczęśliwa kobieta popełniła samobójstwo, o tyle teraz gorączkowo przejął się tą myślą, że pochwycił mordercę i na myśl mu nie wpadło, że mógł być na wieży jeszcze kto inny i że należało właściwie nie poprzestawać na zatrzymaniu tego nieznanego, ale całą wieżę przepatrzyć. Również i malarz uwieżył w to ślepo, że morderca ujęty, dlatego też z jakimś trumfem rzekł do lekarza i barona:

—A co panowie? dobrze widziałem? gdyby nie ja, to by ten opryszek był umknął.

—Ten człowiek nie wygląda wcale na zbrodniarza— rzekł Daubrac.

—Czy może dlatego pan tak sądzi, że ten panicz elegancko i modnie ubrany? O mój panie i tacy modnisie bywają zbrodniarzami.

—Ubranie jest rzeczą obojętną— odezwał się baron— ale twarz tego człowieka jest tak uczciwa, spokojna, że nie można w żaden sposób pogodzić się z tą myślą, że taki człowiek przed chwilą popełnił tak straszną zbrodnię.

—Jest to śmiały i zuchwały opryszek, oswojony z morderem, więc ma twarz spokojną, ale zobaczcie panowie, jak będzie wyglądał, gdy mu pokażą zwłoki zamordowanej.

Gdy zeszli na dół, zastąpiły im drogę tłumy gawiedzi, które dopiero policya rozpędzić musiała. Nieznajomy kroczył z dumą, poważnie obok komisarza, jak człowiek świadomy swej niewinności, a gardzący uwłaczającym mu podejrzeniem. Gdy weszli do Hotel-Dieu, komisarz zażądał wskazania sobie jakiegoś lokalu, gdzieby mógł spisać protokół. Daubrac zaprowadził wszystkich do swego ordynacyjnego pokoju. Tu dopiero można się było nieznanemu dokładnie przypatrzeć. Był to człowiek wyglądający na lat trzydzieści kilka, silnie zbudowany, postawę miał wojskową i wyglądał na oficera w cywilnym ubraniu. Komisarz zasiadł za stołem, a nieznanomy, nie czekając pytania, odezwał się poważnie i energicznie:

—Proszę pana zakończyć już tę pomyłkę, czy też nadużycie władzy urzędowej. Sprowadziłeś mnie tu pan ku uciesze gawiedzi ulicznej, jakby złoczyńcę jakiegoś, nie po-

wiedziałeś mi nawet, z jakiego się to stało powodu.

—Dowiedz się pan natychmiast — odpowiedział komisarz surowo.—A teraz proszę odpowiadać na moje pytania.

—Jestem gotów.

—Dlaczego pan poszedłeś na wieżę?

—Dlatego, aby równie jak wiele innych osób przyglądać się panoramie Paryża.

—I wyszedłeś pan na sam szczyt wieży?

—Nie panie. Zatrzymałem się w połowie drogi, bo ta pani, której towarzyszyłem, była zmęczona i wyżej iść nie mogła.

—Czy długo się pan tam zatrzymałeś?

Bardzo krótko, co najwyżej przez kwadrans. Wiatr przewiewał bardzo silny, co dla mej towarzyszki było bardzo dokuczliwe, dlatego też zaraz zesłała na dół.

—A to dziwne. Dlaczego pan z nią razem nie zeszedłeś?

—Bo mnie ten wiatr wcale nie dokuczał.

—Jakto?—zawołał komisarz—więc idziesz pan w towarzystwie kobiety na wieżę i potem zostawiasz ją samą? To jest tak trudne do wiary, że ja w to uwierzyć nie mogę. Człowiek dobrze wychowany nie mógłby tego uczynić!

A jednak uczyniłem. Ta pani miała bardzo ważne przyczyny do tego, aby sama odeszła.

—Jakież to przyczyny?

—Nie znam ich.

—Jakto? więc odeszła nic panu nie powiedziawszy? To szczególne!

—Mój panie, proszę mi już raz wytłómaczyć, w jakim celu i na jakiej podstawie zadajesz mi pan pytania?

Zadaję je w imieniu prawa. Czy ta pani była pańską żoną?

—Nie jestem żonaty.

—A więc to była pańska przyjaciółka?

—Myśl pan sobie o tem, co się panu podoba.

—Pan jej nie chcesz fęraz kompromitować i zapewne nie wymieni pan jej nazwiska.

—Stanowczo nie wymienię.

—Ta dama jest niezawodnie zameżna, a pan utrzymu-



jąc tajemnicę, działasz po rycersku—mówił komisarz ironicznie—ale bez pańskich wyjaśnień będziemy mogli dowiedzieć się wszystkiego. Byłoby atoli lepiej, gdybyś pan zupełnie szczerze wszystko tu wyznał, bo takie szczerze zeznania łagodzą do pewnego stopnia winę oskarżonego.

—Ja jestem oskarżony?—zawołał nieznajomy takim głókim głosem, w którym drgało prócz zdziwienia, największe oburzenie.—Kto mnie oskarża i o co?

—Cięży na panu podejrzenie, że pan ową damę, z którą poszedłeś na wieżę, zamordowałeś.

Nieznajomy spojrział na komisarza takim wzrokiem, jakby patrzył na waryata i rzekł najspokojniej:

—To już nie zuchwalstwo, ale wprost niedorzeczność i prawdziwie zdumiewać się muszę nad tym niewłaściwym konceptem.

—A więc pan zaprzeczasz temu?

—Nie tylko zaprzeczam, ale nawet od tej chwili na żadne pytanie pańskie odpowiadać nie będę.

—A więc dobrze; pytań nie będę zadawał, natomiast udasz się pan z nami. Proszę panów wszystkich.

Komisarz szepnął lekarzowi, aby ich zaprowadził do lokalu, w którym zwłoki się znajdują, dokąd się też zaraz udano. Był to pokój podobny do wszystkich, wyglądał na jakąś kancelaryę szpitalną, tylko w jednej ścianie znajdowała się zastona. Gdy już wszyscy weszli, komisarz stanął z nieznajomym przy zastonie i nagle za sznur pociągnął. Ukazały się zwłoki kobiety.

Nieznajomy zbliżył się do nich z ogromnem wzruszeniem, ale skóro się przypatrzył dokładnie, rzekł jakby sam do siebie, widocznie uspokojony:

—Chwała Bogu, to nie ona.

Zwrócił się do komisarza i mówił zupełnie spokojnie:

A więc cięży na mnie podejrzenie, że tę nieszczęśliwą straciłem z wieży. Czy ją kto stracił, czy też popełniła samobójstwo, tego nie wiem, ale to oświadczam stanowczo, że tej kobiety nigdy w życiu nie widziałem.

Spokój i stanowczość nieznajomego, jego postawa szlachetna, wyraz twarzy uczciwy, wywierały na wszystkich wrażenie takie, że zrazu zaczęto się dziwić, a potem i po-

wątpiewać o winie podejrzanego. Nawet komisarz policyjny był zakłopotany i zaniechał dalszych pytań, tylko, gdy wrócili do pokoju Daubrac'a, spisał protokół z całego zajścia. Lekarz i baron twierdzili wprawdzie ponownie, że nieznajomy jest tym samym mężczyzną, którego widzieli wchodzącego na wieżę w towarzystwie kobiety, nie mogli atoli stanowczo uznać, czy zamordowana jest tą samą osobą, która była w towarzystwie nieznajomego. Malarz widział wprawdzie doskonale, że jakiś mężczyzna zrzucił kobietę z wieży, ale rysów jego twarzy, ze znacznej odległości, dokładnie pochwycić nie zdołał i dlatego nie może się wcale przy tem upierać, jakoby nieznajomy był istotnie mordercą. Wobec tych zeznań nie mógł komisarz z całą stanowczością trwać przy swoim podejrzeniu, ale też nie mógł uwolnić nieznajomego, nie dowiedziawszy się kim jest i gdzie mieszka. Dlatego odezwał się znacznie uprzejmiej, niż dotąd:

—Przy zwłokach nie znaleziono ani biletu wizytowego, ani żadnego pisma, ani żadnego przedmiotu, wogóle nic, co by mogło ułatwić dowiedzenie się szczegółów o zamordowanej. Skutkiem tego zwłoki będą wystawione na widok publiczny. Tymczasem, skoro pan nie chcesz podać nazwiska swej towarzyszki na wieżę, zechciej podać swoje. Wzywam pana w imieniu prawa o odpowiedź na pytania: jak się pan nazywa? gdzie pan mieszka? czem się pan zajmuje?

—Ani na te, ani na żadne inne pytania nie będę odpowiadał—rzekł nieznajomy bardzo stanowczo.

—W takim razie muszę pana uwięzić i odesłać do sędziego śledczego.

—Być może, że sędziemu śledczemu będę na pytania odpowiadał, ale i to nie w przytomności tych oto panów, którzy są sprawcami mojego uwięzienia.

Nieznajomego odwieziono do sądu karnego, a zwłoki zamordowanej przeniesiono natychmiast do tak zwanej "morgi".

Baron i malarz pozostali w mieszkaniu Daubrac'a Oczywiście, że rozmawiali wciąż o tej sprawie, ale i lekarz musiał iść po chwili do swoich zajęć szpitalnych, więc pożegnał swoich gości. Baron chciał się też pożegnać z malarzem i pójść prosto do domu, ale mu się to nie udało, bo



gadaliwy artysta nie uważał wcale na podawaną sobie do pożegnania rękę, jeno zalewał barona potokiem słów najrozmaitszych treści. Gdy zeszedli przed "Hotel-Dieu" widzieli jeszcze tłumy gawiedzi, krążące koło Notre-Dame i rozprawiające o wydarzeniu. Mimowoli musieli słyszeć rozmaite zdania, wykrzykniki, nawet groźby. Rzecz ciekawa, że w całym tłumie powtarzała się opinia, iż morderstwo musiał spełnić jakiś cudzoziemiec, gdyż Francuz nie byłby zdolny do popełnienia tak ohydnej zbrodni. Zainteresowało to wielce barona, więc zwracając się do malarza, rzekł z cicha:

—Słyszysz pan, oto "vox populi". Nie jestem wprawdzie wielbicielem ulicznych tłumów, ale tym razem zgadza się z moim przekonaniem głos ludu najzupełniej. Ten nieznajomy nie jest mordercą.

Malarz upierał się wprawdzie przy swem pierwszym pojęciu, ale wnet zaczął rozmawiać o czem innem, opowiedział baronowi historję swego życia, odsłaniał plany na przyszłość. Poznać można było z tego, że ten dwudziesto-pięcioletni młodzianaszek ma dobre serce, wiele fantazyi, dużo szlachetnych porywów, ale że jest bezdennie lekkomyślny. Baron powziął do niego sympatyę, podał mu swój adres i prosił, żeby go odwiedzał.

Zaledwie znalazł się baron w swoim mieszkaniu, zaczęły się w nim odzywać jakieś dziwne pragnienia dociekania prawdy w sprawie tego morderstwa. Miał najsilniejsze przekonanie, że nieznajomy jest uczciwym człowiekiem, więc zapragnął wyszukać właściwego zbrodniarza, by niewinnego uwolnić od krzywdzących podejrzeń. Odzywała się w baronie, coraz gwałtowniej, wrodzona mu skłonność do stawania w obronie pokrzywdzonych, co, właściwie powiedziawszy, tworzyło jego jedyne zajęcie i życie mu wypełniało. Był to rodzaj filantropii. Zaczął rozmyślać. Wprawdzie nie ulega wątpliwości, że ten nieznajomy wszedł w towarzystwie kobiety, ale czy przed nim nie weszła tam inna para, której oni z okna szpitalu nie widzieli? a przecież i przez kościół wejść można na wieżę, więc może tamtędy dostał się niespostrzeżenie prawdziwy morderca i jego ofiara. Zaczął też baron żałować, że mu się wpierw na myśl nie nasunęło, aby przepatrzyć wieżę dokładnie i nie poprzestać

na zatrzymaniu nieznanego. Oczywiście była to wina komisarza policyi, ale baron sobie samemu czynił wyrzuty, że tego odrazu nie dostrzegł i komisarza nie zniewolił do spełnienia tego narzucającego się obowiązku. "A może jeszcze czas" pomyślał baron.

Upodobanie szukania przygód wypchnęło go z domu. Pospieszył do Notre-Dame. U wejścia do wieży stała jeszcze straż policyjna, więc niema po co tędy chodzić, boć tędy zoczyńca wyjść nie mógł. Baron udał się na wieżę przez kościół i dostał się do drzwi kratowych. Gdy zadzwonił, otworzyła panna Verdier. Poznała barona i zapytała go niespokojna:

—Czy przyznał się do zbrodni?

—Nie tylko się nie przyznał, ale wprost wszystkiemu zaprzecza, jestem pewien, że to człowiek niewinny. Prawdziwy zbrodniarz dostał się tu niespostrzeżenie, korzystając z tego, że ojciec pani zostawił drzwi otworem.

—Na miłość Boską, proszę nie wspominać już tego, bo ten biedny mój ojciec stracił posadę.

—Niech się pani tego nie obawia. Gdyby nawet tak było, nie będziecie państwo opuszczeni. Proszę liczyć w każdej chwili na mnie.

—Pan się nie zastanowił w tej chwili, że te słowa mogą mnie urazić—rzekła dziewczyna z żalem i powagą.

—Przepraszam panią, że powiedziałem to, nie uprzedziwszy pani, że dr. Daubrac może poświadczyć, jakim jestem człowiekiem. Proszę mi wierzyć, że pragnę być na usługi pani i ojca, tylko z poczucia obowiązku chrześcijańskiego, tylko z bezinteresownej miłości bliźniego.

Rozalia Verdier spojrzała na barona i w jego twarzy dopatrywała się tylko szczerości, tylko zacności. To też wyciągnęła przyjaźnie ku niemu rękę i rzekła:

—Przepraszam.

Baron pożegnał się i poszedł w górę na wieżę. Szedł z wolna, rozpatrując się na prawo i lewo; kiedy niekiedy zatrzymywał się i spoglądał przez okno na panoramę Paryża. Gdy był w pośrodku wieży i wyjrzał, spostrzegł niebieski welon, zaczepiony o gzyms. Było to właśnie w tem samym miejscu, w którym obaj z Daubrac'em widzieli to-



warzyszkę nieznanego i przypatrywali się jej przez lornetkę. Baron zaczął się nad tem zastanawiać, skąd się ten welon wziął w tem miejscu? zbrodniarz stracił swoją ofiarę ze szczytu południowej wieży, zatem welon powinienby się w tamtej stronie znajdować. Gdyby nawet wiatr go był zerwał, to nie byłby w żaden sposób na tę stronę welonu u niósł, bo wiatr wiał od północy, a welon utkwiał na stronie zachodniej. Zakrzywioną laską sięgnął baron ku gzymsowi, zahaczył nią o welon i wyciągnął.

Welon był zupełnie nowy, a nawet wisiała przy nim, na nitce, karteczka z ceną sklepową. Meriadec schował welon starannie, postanowiwszy zanieść go sędziemu śledczemu, a tymczasem spinał się dalej na wieżę, w przekonaniu, że tam kogoś znajdzie. Wszedł tu przez schody umieszczone w północnej wieży, a teraz chciał przejść na wieżę południową, w której mieści się sławny wielki dzwon i inne dzwony mniejsze. Musiał przechodzić przez rodzaj kurytarza, który łączy obydwie wieże; gdy wszedł na kurytarz spotkał tu chłopca może dziewięć lub dziesięcioletniego. Chłopiec miał na sobie ubranie, jakiego używają mali posługacze na ulicach, roznosiciele gazet, tylko że było zupełnie czyste i świeże. Meriadec spojrzał na chłopca ze zdziwieniem, bo inteligentna twarz dziecka, dumne spojrzenie i starannie, elegancko uczesane włosy, nie nadawały się jakoś do ubrania, które miał na sobie.

—Co tu robisz—zapytał Meriadec.

Chłopiec spojrzał dumnie, ujął się w bok rękoma i patrzył na barona tak, jak zwykli patrzeć obrażeni. Baron zniecierpliwiony ponowił pytanie dość ostro, a wówczas chłopiec tupnął nogą i wypowiedział jakieś wyrazy, w niezrozumiałym dla barona języku.

—Jakim językiem mówisz?—zapytał baron.

—Moim własnym—odrzekł chłopiec po francusku. Nie znoszę tego, aby do mnie przez "ty" przemawiano.

Zastanowiło to barona, a i zabawiło zarazem. Dorozumiał, że ten chłopczyzna pochodzi z jakiejś zamożnej cudzoziemskiej rodziny i że prawdopodobnie zjawienie się tego chłopca na wieży, ma jakiś związek z morderstwem.

Nie chąc go zrazić ku sobie, przemówił uprzejmie.

—Proszę się nie obrażać, nie wiedziałem, z kim mówię. Ja tu kogoś szukam, może panicz będzie łaskaw mi powiedzieć, czy nie było tu jakiegoś pana w towarzystwie kobiety?

—Ja pana nie znam, a z nieznanymi nie rozmawiam—odpowiedział chłopiec po francusku, również uprzejmie, ale stanowczo.

—Jestem baron Meriadec.

—Bardzo mi przyjemnie poznać pana barona. Jestem Szasza Pawłowicz Konstantynow.

—A więc Rosyanin?

—Tak, szlachcic rosyjski.

—A gdzie rodzice?

—Wyszli wysoko na wieżę. Ja byłem zmęczony, iść wyżej nie mogłem, więc kazali mi tu czekać. Czekam dość długo, zaglądam we wszystkie kąty, byłem nawet na szczycie wieży, a nigdzie ich znaleźć nie mogłem.

—Zapewne panicz minął się z rodzicami i oni teraz na dole czekają.

—Być może, ale ja tu zostać muszę i tu na nich czekać, bo tak mama kazała.

—Bardzo pochwalam to posłuszeństwo. Jeżeli kochany pan Szasza pozwoli, to będę mu towarzyszył i również zaczekam.

—Bardzo mi będzie przyjemnie korzystać z towarzystwa pana barona.

—Czy mogę zapytać, co znaczy to ubranie ulicznika paryskiego?

—Aha!—odpowiedział śmiejąc się Szasza.—Zapomniałem o tem, że jestem przebrany. Papa powiedział, że tu teraz karnawał i że mali chłopcy z najlepszych domów przebierają się zwykle za uliczników, to też i mnie tak przebrano.

—A rodzice dawno już mieszkają tu w Paryżu?

—Przybyliśmy tu w nocy, rano zaraz mnie przebrano i wyszliśmy tu na wieżę.

—Więc zapewne zajechali do jakiegoś hotelu.

—A tak! Do hotelu.

—A do którego?



—Co to, to już nie wiem. Ale co to zaczęły, że ich nie ma?

—Najniezawodniej kochany panie Szasza rodzice czekają na dole u wejścia do wieży. Radzę abyśmy tam zeszli.

—Ponieważ pan jesteś baronem, więc panu ufam zupełnie. Dobrze, idźmy na dół.

Meriadec domyślał się, że chłopca chciano się pozbyć, że go dlatego przebrano za ulicznika i postawiono na wieży. Nie wątpił, że zamordowana kobieta jest matką tego dziecka. Czyż mordercą byłby jej własny mąż i ojciec tego dziecka? Zdawało się baronowi, że owego mordercę pochwyć zdoła na wieży, dlatego po drodze wstąpił do córki dzwonnika i szepnął jej, ażeby jak najprędzej pozamykała wszystkie drzwi kratowe na wieży i nikogo nie wypuszczała. Postanowił uwiadomić natychmiast policję, aby uczyniła staranne na obu wieżach poszukiwania. Zeszli wreszcie na dół. Chłopczyzna rozejrzał się dokoła i nigdzie rodziców nie dostrzegł. Rozplakał się żałośnie. Meriadec go pocieszał.

—Nie trzeba się niepokoić; rodzice udali się zapewne do hotelu. Proszę mi zupełnie zaufać i przyjąć u mnie gościnę. Po wypoczynku udamy się obydwaj na poszukiwanie tego hotelu, do któregoście zajechali.

—Z pana zacy człowiek; dziękuję panu bardzo—rzekł chłopiec płacziwie.—Przyjmuję pańskie zaproszenie, zwłaszcza, że mi się chce jeść i spać.

Meriadec wsiadł z chłopcem do dorożki i pojechał do swego mieszkania, na rue Cassette.

Co teraz robić z tym chłopcem? myślał baron. Jeżeli go zaprowadzi na policję, to tam zamkną dziecko, jako pozabawione dachu i opieki, razem z włóczęgami. Jeżeli go zaprowadzi zaraz do sędziego śledczego, to dziecko mogłoby się odrazu dowiedzieć rzeczy strasznej dla siebie. Poprzestał na tem, że dziecku dał przytułek, zwrócił uwagę policji, aby czyniła jeszcze poszukiwania na wieżach i wybiegał się do sędziego śledczego, aby mu o tem wszystkim opowiedzieć.

## II.

Sprawę zbrodni, na wieży "Notre-Dame" popełnionej, przeznaczył sąd jednemu z najznakomitszych sędziów śledczych. Był to Hogues de Malverne, pochodzący z rodziny za możnej, powszechnie szanowanej. Miał kilkadziesiąt tysięcy franków rocznego dochodu ze swego majątku, więc starczyło mu środków na to, ażeby stworzyć u siebie jedno z najmiłszych ognisk towarzyskiego życia w Paryżu. Żona jego była kobietą piękną, bardzo wykształconą, lubiła się bawić, a co ważniejsze bawić się umiała. Salon państwa Malverne należał do najwykwintniejszych w Paryżu.

Życie towarzyskie nie odводziło wcale sędziego od ścisłego wykonywania obowiązków. Słynął jako wzór sprawiedliwości; zawsze spokojny, rozważny, bezstronny, przytem nadzwyczaj bystry.

Właśnie w biurze jego znajduje się urzędnik policyjny i zdaje sprawę o zajściu na wieży.

—Zdaje mi się mój panie—mówił Malverne do urzędnika policyjnego—że tutaj policya nie spełniła należycie swego obowiązku. Być może, że człowiek ujęty jest sprawcą zbrodni, ale też prawdopodobne, że go przez pomyłkę zatrzymano. Nie tylko dowodu, ale nawet poszlak niema żadnych, że ów człowiek dopuścił się zbrodni. Przedewszystkiem należało natychmiast najstaranniej przejrzeć obie wieże, a nawet dach kościoła "Notre-Dame", aby się przekonać, czy się tam kto nie ukrywa. Wszakże obok uwięzionego, mógł jeszcze cały tuzin ludzi znajdować się na wieży.

—Mogę zapewnić, panie sędzio—odpowiedział urzędnik policyjny—że uczyniliśmy wszystko, co potrzebne. Po odprawieniu uwięzionego, wróciliśmy na wieżę i przeszukali wszystkie kąty i nie znaleźli nikogo.

—Ależ to było za późno tymczasem dziesięciu zbrodniarzy mogło być wyjść z wieży niespostrzeżenie.

—I to niemożliwe, bo u wejścia na wieżę postawiliśmy strażę.

—Ale zapomnieliście może panowie o tem, że z wieży



można się dostać na ulicę także przez chór kościelny. Czy tam była również straż ustawiona?

—Nie wydało się nam to potrzebne, bo trudno sobie wyobrazić, aby zbrodniarz narażał się na pochwylenie przez służbę kościelną.

—Dziwnie panowie pojmujecie psychologię zbrodniarza. Przecież korzystniejsze były dla niego widoki wykroczyć się służbie kościelnej, niż policyi, która u wejścia na wieżę na niego czekała.

—Mimo tego jestem pewien, panie sędzio, żeśmy pochwycili istotnie zbrodniarza. Już to samo dowodzi jego winy, że nam odmówił wszelkich wyjaśnień co do swej osoby, a nawet nazwiska swego niechciał podać.

—To co pan mówi, panie komisarzu, dowodzi zupełnie czego innego. Zatrzymaliście przez pomyłkę jakiegoś niewinnego człowieka, należącego do lepszego towarzystwa. Kazaliście go uwięzić, odprowadzić pod strażą do urzędu policyjnego. Było to dla niego skandalem, więc nie chciał poniewierać swego nazwiska w protokołach policyjnych i w reporterskich notatkach dziennikarskich. Tak się mnie ta rzecz przedstawia i długoletnie doświadczenie pozwala mi przypuszczać, że się nie mylę.

—Uporczywie też tai nazwisko owej, z którą udał się na wieżę.

—Temu niema się co dziwić—mówił Malverne—może miał jakąś schadzke erotyczną z mężatką i nie chce jej kompromitować.

—Również i to jest bardzo podejrzane—opowiadał komisarz policyjny—że nie znaleziono ani biletów wizytowych, ani żadnego pisma, ani wogóle nic takiego, coby mogło świadczyć, kim jest właściwie; nie miał przy sobie portmonetki, a kilka sztuk złotej monety miał w kieszeni od kamizelki. Najwidoczniej z rozmysłem usunął wszystko, coby mogło służyć przy śledztwie do poznania osoby zbrodniarza.

—Ależ i to nie jest ani dowodem, ani nawet poszlakiem winy. Ileż to osób, a zwłaszcza z lepszego towarzystwa, w ten sam sposób wychodzi od niechcenia na schadzki, czy przechadzki. Przy zamordowanej znaleziono jakie przedmioty, z którychby czegoś domyślać się było można?

—Nic zgoła, oprócz bardzo cennych klejnotów. Zarówno ubranie, jak i bielizna, świadczą o zamożności. Na złotym, kosztownym zegarku, wyryta jakaś litera rosyjska, a po nad nią korona hrabiowska. Twarz ofiary jest tak rozbita, że się na niej wszystkie rysy zataryły.

—Czy pan może mi jeszcze co oznajmić?—zapytał sędzia.

—Chyba to jeszcze dodam, że strażnik na wieży jest bardzo niedbały, zostawia kratowe drzwi otworem i nad wchodzącymi kontroli nie rozciąga.

—Nie zapomnę o tym szczególe, a teraz proszę polecić komu potrzeba, aby uwięziony sam się tu do mnie zgłosił, bez asystencyi policyi. Straż policyjna niech się zatrzyma przed biurem.

Komisarz policyi oddalił się, a sędzia przeglądał jeszcze przedłożony sobie protokół w sprawie morderstwa na wieży. Po niej długiej chwili wszedł do biura jakiś elegancki mężczyzna. Sędzia rzucił okiem, uśmiechnął się przyjacielsko i zerwawszy się z krzesła, podskoczył ku przybyłemu, mówiąc weselo:

—A ty co tu robisz? Cóż się stało, że mnie tutaj odwiedzasz? Czy tak, czy owak bardzo mi przyjemnie widzieć cię, chociaż wybaczyć, że tylko na krótko, bo właśnie mam przesłuchiwać obwinionego. Ale nawet nim się z tobą przywitam, już cię zburzyć muszę. Czemuż to wczoraj u nas nie byłeś. Czekaliśmy na ciebie do ósmej. Moja żona była na ciebie oburzona i jestem pewien, że jeszcze do tej chwili się gniewa.

Przybyły ze zdziwieniem spoglądał na sędziego, a nawet z wielkiem zakłopotaniem. Sędzia spostrzegł to i zapytał:

—Cóż tobie Jaques? Czyś nie chory? Może ci się co wydarzyło?

—Zaraz, nie wiem właściwie, chciałem się zapytać....

—Ale mówże do licha; wszakże widzisz, że tu niema nikogo. No i coż się stało?

Przyjaciół sędziego potarł czoło, widocznie nie wiedział co mówić.

—A to już dla mnie zagadka. Wyczekuję właśnie delik-



wenta, posadzonego o morderstwo, w tem drzwi się otwierają i wchodzi mój najlepszy przyjaciel, ale ten mój kochany Jaques nie wygląda wcale na oficera, lecz na jakiegoś delikwenta. Ponieważ nie byłeś u nas wczoraj, pomimo przyrzeczenia, a teraz tak zagadkowo wyglądasz, więc się obawiam, czy ci się nie wydarzyło jakie nieszczęście.

—Istotnie bardzo wielkie, bo oto stoję przed tobą jako delikwent, uwięziony przez policję, posadzony o popełnienie morderstwa.

Sędzia spojrział badawczo i poważnie na przyjaciela i rzekł z widocznym niepokojem:

—Albo żartujesz, albo mówisz w gorączce.

—Ani jedno, ani drugie. Za drzwiami jest straż policyjna, która mnie tu przyprowadziła.

—Więc noc spędziłeś w policyjnym więzieniu? Dlaczego nie powołałeś się na mnie?

—Myślałem o tem, ale zaniechałem tego, aby ci nie sprawić najmniejszego kłopotu. Byłem pewien, że sędzia śledczy zwolni mnie natychmiast po przesłuchaniu i sprawa na tem się skończy. Nie przeczuwałem, że ty będziesz moim sędzią śledczym.

—Ależ właśnie bardzo dobrze się stało, że trafiłeś na mnie. Inny sędzia, który cię nie zna, musiałby ci z urzędu czynić pewne trudności w doraźnym uwolnieniu, a tobie byłoby też niemiło wynurzać się przed obcym człowiekiem. Do mnie masz zaufanie, więc nie sprawi ci to przykrości, że mi wszystko szczerze, po przyjacielsku opowiesz. Nie dziwię się temu wcale, że wstrzymałeś się od zeznań w protokole policyjnym, a nawet muszę to uznać za zupełnie właściwe, skoro mogłaby tu być narażona na szwank cześć kobiety.

—A więc znasz całą sprawę?

—O tyle, ile z protokołów policyjnych poznać ją mogłem. Wiem, że nie chciałeś odpowiadać na pytania, nie chciałeś podać swojego nazwiska. Nie wiedząc wcale, a nawet nieprzeczuwając, że ciebie o zbrodnię posadzono, domyśliłem się łatwo, dlaczego uwięziony tak się zachował. Kobieta, która ci towarzyszyła na wieżę, jest niezawodnie mężatką, więc zależało ci na tem, aby jej nie skrompromitować. Prawdziwie po rycersku.

Ale bądź co bądź narażasz się bardzo i radzę ci po przyjacielsku, abyś dał spokój temu nałogowemu uprawianiu erotyki. Tak, mój kochany chłopcze, czas już, abyś poszedł w moje ślady, ożenił się i żył spokojnie w domowym ognisku. Pamiętasz Jacques, cośmy to dokazywali w Paryżu przed laty, gdy ja byłem jeszcze studentem uniwersytetu, a ty młodziuchnym oficerkiem? Hej, hej!—szumiało się—co? ale ja się zmieniłem, jestem żonaty, żonę kocham, o miłośkach zakazanych nie myślę i zawsze mam przed oczyma ten paragraf prawa, który orzeka, że za wiarołomstwo małżeńskie jest kara dwuletniego więzienia. Jakoś ci się nie poszczęściło tym razem, bo mogłeś być okupić tę schadzke na wieży drożej niż więzieniem bo stryckiem. Co za prawdziwe nieszczęście, żeby się znaleźć na schadzce na wieży, w takiej chwili, w której jakąś kobietę na dół strącają.

—A więc mnie nie podejrzewasz o to?

—Jakże nawet możesz przypuszczać coś podobnego? Znam cię tak dobrze, iż nawet na chwilę nie mógłbym wątpić w twój charakter. Do takiej zbrodni zdolnym nie jesteś. Nie będę cię nawet przesłuchiwał według formalistyki urzędowej, ot, siadaj—pomówimy z sobą po przyjacielsku.

Przyjaciel sędziego usiadł ale widocznie nie zdołał się jeszcze uspokoić i znać było na jego twarzy ciągle zakłopotanie.

—Dobrze się stało, żeś nie podał swojego nazwiska w policyi, bo tym sposobem nikt się nie dowie, że Saint-Briac, rotmistrz kawalerii, spędził noc w aresztach policyjnych, razem z włóczęgami i złodziejami.

—A więc policyja nie dowie się od ciebie mojego nazwiska?

—Wcale nie. Nie jestem obowiązany zdawać jej sprawę z mojego postępowania i z moich zarządzeń. Mogę cię natychmiast uwolnić bez przesłuchania, bez spisywania protokołu, a nawet mam prawo zaprosić cię do siebie, byśmy razem wieczór spędzili.

—Dziękuję ci bardzo, ale dziś z gościnności twojej korzystać nie mogę.

—A to znowu dlaczego? Pomyśl tylko, jak moja żona będzie się doskoanle bawiła, gdy jej opowiesz swoje przygo-



dy. Ale jakże się to stać mogło, że cię posadzono o morderstwo?

—Jestto dla mnie parwdziwą zagadką. Gdy schodziłem z wieży, zatrzymano mnie, uwięziono, zaprowadzono do szpitala i pokazano mi zwłoki nieznaney mi kobiety. Gdy z oburzeniem i zdumieniem domagałem się wyjaśnienia, czego właściwie odemnie żądają, odpowiedziano mi, że jestem posądzony o zrzucenie kobiety tej z wieży. Cóż miałem odpowiedzieć? Świadkiem katastrofy nie byłem, a nazwiska kobiety, która mi towarzyszyła, wymienić nie chciałem.

—Bardzo słusznie; ale przyznaj, że to dość dziki pomysł urządzać sobie schadzkę na wieży.

—Moja towarzyszka tego sobie życzyła.

—Czy ta twoja erotka jest dopiero na stopniu platoniczno-sentymentalnych schadzek, czy też przeszła już w stadyum zażyłego stosunku?

—Ta pani nigdy nie była u mnie, ani ja też w jej domu nie doznałem niczego innego, prócz gościnnego przyjęcia, jakiego doznaje każdy inny gość, choćby najobojętniejszy. Wczoraj dopiero po raz pierwszy mieliśmy schadzkę, ale taką, jakąby mógł mieć brat ze siostrą.

—A jakżeście weszli a wieżę, nie spotkawszy strażnika?

—Drzwi kratowe zastaliśmy otwarte, więc weszliśmy pewnie przez nikogo nie spostrzeżeni. Zaledwieśmy poczęli wchodzić na wieżę, spostrzegłem wysoko nad nami dwie osoby: mężczyznę i kobietę. Oczywiście zatrzymaliśmy się w korytarzu, aby się z ową parą nie spotkać. O ni zapewne także unikali spotkania, bo dostrzegłem, że mężczyzna wsunął się prędko we framugę okna. Oczywiście nie troszczyliśmy się o nich, tylko zatrzymali się na korytarzu.

—A dlaczegożeście razem nie zeszli?

—Wszystko się jakoś nie wiodło. Gdy moja przyjaciółka wyszła z domu, kupiła sobie po drodze niebieski welon, jakiego Angielki używać zwykły; jest to tkanina tak gęsta, że przez nią rysów twarzy dopatrzeć się nie można. Pod tym welonem nawet własny mąż byłby jej nie poznał. Gdyśmy się na balkonie zatrzymali, moja towarzyszka podniosła welon, a że był słabo przypięty, więc go wiatr zerwał i uniósł.

—A, to nie miła przygoda dla mężatki—rzekł sędzia śmiejąc się.

—Co było czynić? Bez welonu nie mogła już ze mną pokazać się publicznie, więc prędko się oddaliła, a ja zatrzymałem się na wieży kilkanaście minut. Gdy już schodziłem na dół, zatrzymano mnie, uwięziono i nastąpiło to, o czym ci wiadomo.

—No, teraz już rozumiem wszystko; gdy ciebie sprowadzono na dół, prawdziwy zbrodniarz ukrył się tymczasem w pierwszym lepszym zakręcie, a potem wyszedł spokojnie przez kościół. Sprawa jasna, ale bądź co bądź musisz mi w zaufaniu nazwisko tej kobiety wymienić.

—Tego uczynić nie mogę i raczej dam się powiesić.

Ależ mój drogi, co innego policya, co innego ja. Nie przemawiam do ciebie jako sędzia śledczy, tylko jako przyjaciel.

—Czy może wątpisz w prawdziwość tego, co ci powiedziałem?

—Wcale nie. Ale rozważ, że ja przecież ogromną przyjmuję odpowiedzialność, uwalniając cię od wszelkiego śledztwa. Poczucie obowiązku sędziowskiego domaga się, abym stanowczo wiedział, że ta kobieta, z którą byłeś na wieży, istotnie żyje.

—Jakżebyś mógł się o tem przekonać? musiałbyś ją zapewne wezwać urzędownie do siebie, żądać zeznania, a a bodaj wyjaśnienia. Nie, to niemożliwe. Byłbym niegodziwcem, gdybym ją na to narażał.

—Ależ to wszystko co mówisz, jest zupełnie zbyteczne. Anibym nie chciał, ani nie potrzebował narażać kobiety, na taką kompromitację. Wystarczy mi wiedzieć jej nazwisko i adres, a wtedy poprostu zajrzę do spisu ludności i przekonam się, czy żyje. To wszystko. Co najwięcej postarałbym się, aby zręczny agent policyjny wywiedział się, czy owa pani tego dnia, o tej godzinie wychodziła z domu.

—Mógłbym cię okłamać, gdybym był do tego zdolny; wymieniłbym ci pierwszą lepszą znajomą kobietę, aby cię uspokoić. Ale kłamać nie umiem i nie mogę, a prawdę ukrywać muszę.

—A czy ty wiesz mój drogi Jacques, że gdybym chciał,



dowiedziałbym się prawdy i bez twoich wyznań? Gdybym polecił tajnej policyi, aby cię śledziła, miałbym wkrótce adres twojej towarzyski.

—Tego nie uczynisz—zawołał Saint-Briac błady, przeżony.

—Nie uczynię, bo cię kocham jak brata i ufam ci, jak się ufać powinno człowiekowi honorowemu. Chciałem ci tylko zwrócić uwagę, że takie erotyczne historye bywają niebezpieczne i często utaić się nie dadzą. Nie upieram się, ufam ci, w ciągu kilkunastu minut będziesz zupełnie uwolniony, a za to przyjdiesz do nas na obiad. Chciałbym, abyś od mej żony usłyszał surowe kazanie.

—Przecież nie będzie jej o tem opowiadał?

—I owszem. Zabawi się twą przygodą doskonale i pomoże mi nakłonić cię do porzucenia erotycznych wypraw, a poszukania sobie pięknej, dobrej żony.

—Jednakowoż wolałbym, abyś tę sprawę traktował jako tajemnicę urzędową.

—Gdybyś nie był moim przyjacielem, gdybyś nie był najmilszym, najporządniejszym gościem naszego domu, toć rzeczywiście nie miałbym powodu opowiadać o tem Odecie i poniekąd mogłaby ta zabawna historia być urzędową tajemnicą. Ale nasze stosunki są tak braterskie, tak przyjacielskie, że w moim domu mogę śmiało o twojej przygodzie opowiedzieć żonie, przed którą nie miewam żadnych tajemnic jak również i ona przedemną. Między nami jest taka szczerłość, że niema drobiazgu nawet, o którymbyśmy sobie wzajem nie opowiadali.

Zdumienie ogarnęło dozorcę więzienia i straż policyjną, gdy sędzia wyszedł z uwięzionym pod rękę, kazał go wykreślić ze spisu aresztowanych i do bramy pałacu sprawiedliwości odprowadziwszy, najserdeczniej, po przyjacielsku go pożegnał.

Saint-Briac szedł zwolna, z głową spuszczoną. Nie okazywał zadowolenia, że go uwolniono; nawet przeciwnie: na twarzy miał jakiś smuteg rozlany i niepokój. Uszedłszy kilkadziesiąt kroków, rozglądnął się wokoło, żeby znaleźć drożkę i pojechać do swojego mieszkania na Avenue d'Antin. Zatrzymał się chwilę i spostrzegł, że jakiś mężczyzna,

prowadzący za rękę małego chłopca, bacznie mu się przypatruje. Rzucił bystro okiem na niego i zbliżając się nagle rzekł:

—A, to pan! Czemuż mi się pan tak przypatruje? Zapewne to pana dziwi, że idę swobodnie, chociaż pan należałeś do tych, co mnie aresztować kazali.

—Mylisz się pan—odpowiedział Meriadec.—Zostałem wezwany przez sędziego śledczego na świadka i właśnie udaję się do pałacu sprawiedliwości, aby tam wyznać zupełnie szczerze, że pan stałeś się ofiarą nieporozumienia. Niewinność pańską stwierdziłem.

—Bardzo mi to przyjemnie, tembardziej, że sędzia śledczy powziął to samo przekonanie i dlatego najzupełniej mnie uwolnił.

—Niech Szasza powie, czy zna tego pana—rzekł Meriadec, zwracając się do chłopca i wskazując na Saint-Briac'a.

—Nie. Tego pana widzę po raz pierwszy,—odpowiedział chłopczyzna.

—Byłem tego pewien—rzekł Meriadec.

—Nie byłbyś pan łaskaw wyjaśnić mi, co znaczy ta konfrontacya?—zapytał Saint-Briac z odczuciem szyderstwa.

—To było tylko stwierdzenie, że policya dopuściła się wielkiego błędu i utrwalenie mego przekonania, że powiniem na pańską korzyść jako świadek zeznawać.

—Uprzejmie dziękuję za te dobre chęci, ale sądzę, że niepotrzebnie pan będziesz się trudził do sądu, bo mnie zupełnie uwolniono. Byłbym bardzo wdzięczny, gdybyś się pan przestał zajmować moją osobą.

To rzekłszy, ukłonił się Saint-Briac od niechcienia i odszedł. Meriadec stał chwilę i rozmyślał, co dalej czynić. Po namyśle postanowił nie tylko złożyć w sądzie zeznanie, ale też i na własną rękę śledzić zbrodniarza. Powziął tę myśl dlatego, że usposobienie pchało go do szukania różnych przyczód, że walka z wszelką niegodziwością była po części jedynem jego zajęciem. Dodać do tego trzeba, że o zręczności policji miał najgorsze wyobrażenie.



Była godzina druga, a wezwanie do sędziego śledczego przechadzkę. Sasza oświadczył, że w ubraniu ulicznika chodzić po mieście nie będzie i prosił gorąco swojego opiekuna, aby wsiedli do dorożki i szukali owego hotelu, w którym nocowali rodzice. Meriadec nie mógł tego uczynić, bo zamało było na to czasu, więc wytłómaczył chłopcu, że kupi mu ubranie, a potem z rodzicami się policzy. Chłopiec niechętnie przyjął tę propozycję i rzekł:

—Nie mogę przecież od pana przyjmować podarunków, nie jesteś pan moim krewnym.

—Proszę być spokojnym, kochany panie Szasza, boć to przecież nie podarunek, tylko pożyczka, którą mi rodzice zwrócą.

To zachowanie się chłopca utwierdziło barona w przekonaniu, że pochodził z rodziny zamożnej, arystokratycznej. Nareszcie chłopiec dał się nakłonić i szedł bez oporu za swoim opiekunem. Ożywił się też cokolwiek i rozmawiał z baronem swobodnie. Opowiedział mu, że mieszkają koło Tuły, w majątku Weria, że matka jego nazywa się właściwie Xenia Konstantynowa, ale że jego właściwy ojciec już nie żyje, a matka ma drugiego męża, który nie jest ani hrabią, ani nawet szlachcicem.

—Pewnie tam bardzo wesoło w majątku rodziców? W Rosyi jest ożywione życie towarzyskie.

—Dawniej tak bywało, ale teraz nikt u nas nie bywa.

—Rodzice dużo podróżują za granicą?

—Ojczym wciąż prawie za granicą przebywa, ale mama rzadko kiedy wyjeżdża, tylko wciąż zajmuje się zarządem dóbr.

—A gdzie to pan Szasza tak doskonale nauczył się po francusku.

—U nas prawie wszystkie dzieci w szlacheckich domach uczą się po francusku, a ja może więcej umiem od innych, bo ojczym z moją mamą tylko po francusku rozmawiali.

—A ojczym nie jest Rosyanem?

—Ja nie wiem. Stary Mikołaj Trofimowicz raz się pogniewał na ojczyma i wygadywał brzydko, bardzo brzydko, a ja przypadkowo usłyszałem.

—A któż to jest stary Mikołaj Trofimowicz?

—To nasz najstarszy lokaj, co podobno jeszcze mego ojca wypiastował. O! to bardzo poczciwy ten Mikołaj Trofimowicz; ja go bardzo lubię, a on mnie także.

—Czy można wiedzieć, co on tak brzydkiego powiedział?

—To nie wypada powtarzać, bo to bardzo brzydkie. Ale że pan bardzo dobry dla mnie, to panu powiem. Proszę sobie wyobrazić, on powiedział: "Niech dyabli porwą tego szwaba przybędę, na niego trzebaby stryczka".

—Więc ojczym jest Niemcem?

—Ja tego nie wiem; wiem tylko, że nie jest Rosyaniem, bo po rosyjsku z nikim nie mówi.

—Czyście państwo tutaj wprost z Rosyi przyjechali?

—Ja z mamą przyjechałem.

—A ojczym?

—Ojczym wyjechał już pół roku temu, a tu w Paryżu na dworcu nas oczekiwał.

—A potem pojechaliście do hotelu?.

—Nie wiem, czy to był hotel. Był to duży dom, w którym było zupełnie cicho, pusto. Może w Paryżu bywają takie ciche hotele.

W dalszej rozmowie nie można się było żadnych szczegółów dowiedzieć, któreby mogły dać wskazówkę, gdzie właściwie rodzice malca zamieszkali. Meriadec domyślił się z tego, że ów ojczym malca, chcąc zamordować żonę i pozbyć się dziecka, wyszukał jakiś ostatniorzędny zajazd, albo też zawczasu najął mieszkanie, byle ułatwić sobie zatarcie śladów swojej zbrodni. Stracił więc nadzieję, aby mu się udało wyszukać ów dom, w którym zbrodniarz ze swemi ofiarami noc spędził. Poszedł ze Szaszą do sklepu ubrań, przebrał chłopca przyzwoicie, a potem zdążył do pałacu sprawiedliwości. Gdy się już zbliżał do pałacu, zastąpił mu drogę Fabreguette i zawołał głośno, według zwyczaju:

—Kogo widzę! Kochany pan baron! Pewnie pan idzie jako świadek? Niechże pan sobie oszczędzi trudu, niema poco wspinać się po chodach, sędzia śledczy został wezwany do prezydenta, a przesłuchanie świadków odroczone do jutra.



—Bardzo mi to na rękę, rzekł Meriadec, bo wolałbym teraz zająć się czem innym.

—Choć pan ze mną do morgi,—namawiał Fabrequette.

Baron wskazał na chłopca i szepnął, że to będzie niemożliwe, ale malarz, jak zawsze roztargniony, krzykliwy, nie zważał na to i zawołał:

—E, co to szkodzi? Weź pan ze sobą i dziecko, niech się oswaja ze wszystkim na świecie. Nie wiedziałem, że pan ma syna, mówiono mi, że pan nie żonaty.

—To nie moje dziecko.

—A widać, widać, do pana nic nie podobny. No, po co się namyślać, chodź pan do morgi. Zwłoki dziś rano wystawiono na widok publiczny; pewnie tam setki ludzi cisną się do nich. Jabym je chciał także zobaczyć, bo wczoraj zaledwie rzuciłem na nie okiem. Najbardziej mnie to zaciekawia czy nieszczęśliwa zostanie przez kogo poznana.

Baron wahał się, co czynić. Był pewien, że to matka Saszy, więc jakże dziecko narażać na to, aby zobaczyło zwłoki matki, tak strasznie zmiążdżone. Z drugiej strony atoli pragnął się upewnić, że istotnie jest tak, jak się domyślał, a więc taka konfrontacya dziecka ze zwłokami ofiary była nawet poniekąd niezbędną. Dlatego skłonił się wreszcie do zwiedzenia morgi. Sasza przysłuchiwał się rozmowie i zwracając się do malarza zapytał:

—Co to jest morga?

—Cóż to, nie wiesz? Możesz dopiero ze wsi przybył?

—Nie znoszę tego, gdy nieznamy tak poufale do mnie przemawia. Proszę do mnie "ty" nie mówić, bo nie jestem pańskim kuzynem.

Malarz uśmiechnął się, wytrzeszczył oczy, cofnął o krok i kłaniając się żartobliwie, odpowiedział:

—Przepraszam jaśnie pana, nie wiedziałem, że mam zaszczyt rozmawiać, z potomkiem szlacheckiego rodu.

—To zupełnie nie potrzebne, co pan teraz czynisz; proszę raczej odpowiedzieć na moje pytanie: co to jest morga?

—Natychemiast móci ksiązę, czy hrabio, bo nie wiem, jak mam tytułować. Otóż morga, jestto jak gdyby hotel, w którym składa się zwłoki umarłych, zanim je się pochowa. A może ksiązę pan, czy hrabio, boi się widoku zmarłych?

—Raz tylko w życiu widziałem umarłego. Był to mój ojciec. Nie bałem się go wcale. Dlaczegoż się bać umarłych, jeżeli się żywych nie boimy?

Zdążali teraz razem w kierunku kościoła Notre-Dame. Blisko kościoła wskazał Sasza ulicę, którą wczoraj z matką i ojczymem przybył pod wieżę.

—Przez tę ulicę przyszlismy—rzekł Sasza.—U biegu rzeki wysiedliśmy z powozu i szli dalej pieszo; ojczym powóz od brzegu odprawił.

—Aha!—zawołał Fabrequette—teraz już zaczynam domyślać się całej historyi.

Meriadec, znając gadulstwo malarza, pragnął zachować przed nim w tajemnicy historyę Saszy, ale poznał wnet, że uporczywie natrętny Fabrequette nie odczepi się od niego, więc ostatecznie wypadło już baronowi podzielić się z malarzem tajemnicą. Bojąc się, żeby malarz nie powiedział coś niewłaściwego, coby Saszę urazić mogło, szepnął mu do ucha:

—Opowiem panu wszystko, gdy będziemy sami, a teraz na miłość Boską, niech pan już nic a nic nie mówi.

—Aj panie, to dla mnie rzecz bardzo trudna—szepnął malarz i przyłożył rękę do ust, na znak, że będzie milczał.

Nic nie mówiąc zbliżył się do ponurego budynku, w którym umieszczano zwłoki nieznanymi ludźmi w tym celu, aby je ktoś przypadkowo poznał. Była to głośna w Paryżu morga. Ścisk był wielki, bo niemal cały Paryż wiedział już o tem niezwykłym wydarzeniu, że z wieży Notre-Dame, zrzuciła się, albo zrzuconą została jakaś kobieta.

Policya przestrzegała porządku bardzo energicznie; ciekawki musieli wchodzić jednemi drzwiami, każdy z osobna, a drugimi ich wypuszczano. Za zmiążdżoną, rozbitą czaszką. Zostawiono na nich całkowite ubranie i wszystkie klejnoty, ażeby ofiarę tem łatwiej poznać było można.

Meriadec szedł przodem, za nim postępował Sasza, a za Saszą malarz. Zanim jeszcze do zwłok samych zbliżyć się mogli Sasza, który rozglądał się na wszystkie strony, spostrzegł między wychodzącymi jakiegoś elegancko ubranego, wysokiego mężczyznę i zawołał na niego po rosyjsku, a ten usłyszawszy wołanie Saszy, przyspieszył kroku i zaczął prze-



ciskać się pomiędzy wychodzącymi, widocznie dlatego, aby jak najprędzej się oddali. Sasza zaczął jeszcze głośniej wołać. Jeden z policyantów ofuknął go za to, a Meriadec ujął się za chłopcem.

—Więc czegoż krzyczy?—rzekł policyant dosyć szorstko.

—Wszakże to dziecko, więc się boi—odpowiedział baron.

—Proszę tu dzieci nie wprowadzać; niech się zaraz oddali.

Policyant utorował im drogę i wyszli natychmiast, nie zatrzymując się już przed zwłokami.

—Na kogo to Sasza wołał?—zapytał baron.

—Na mego ojczyma. O! widzi go pan—tuż przed nami, pobiegnę za nim.

Chłopiec się wyrwał z rąk barona i pędził, wołając po rosyjsku. Baron i malarz gonili za chłopcem, aby jego ojczyma zatrzymać, ten atoli wskoczył do czekającej na niego karetki i prędko odjechał. Sasza zatrzymał się, podniósł pięść do góry i wykrzyknął coś po rosyjsku, grożąc pięściami odjeżdżającemu.

—Czy wolno wiedzieć, co Sasza teraz powiedział—spytał baron.

—Powiedziałem mu to samo, co Mikołaj Trofimowicz. Powiedziałem mu więcej, powiedziałem, aby go Bóg skarał. O! ja wiem, ja to czuję, że on mojej mamie coś złego wyrządził. To już takie nieszczęście, że my Słowianie od Niemców krzywdy doznawać musimy. Czemu on się nie obejrzał? Czemu z nim mamy nie było? Z moją mamą coś złego stać się musiało i to pewnie on, ten szwab to zrobił. A teraz mnie porzucił. Nie darmo Mikołaj Trofimowicz tak płakał nademną, gdyśmy odjeżdżali.

Ta scena wywarła głębokie wrażenie na baronie i malarzu. Byli bezradni, nie wiedzieli co teraz czynić z chłopcem.

Sasza rozpromieniony, z oczyma iskrzącymi, zwrócił się do barona i prosił, aby go zaprowadził do swego mieszkania. Taka energia ożywiła teraz to dziecko, że wydał się rośliwym młodzianem, żądnym czynu, albo zemsty.

Malarz przypatrywał mu się uważnie i szepnął do barona:

—Dzielny chłopak! takiego tu w Paryżu by nie znalazł. Domyślam się, że zamordowana jest matką tego chłopca, a ów dumny pan, co to uchodził, to jawnie morderca?

—Najniezawodniej—odpowiedział baron. — Ofiary nie wskresimy, ale możemy ją pomścić. Zbrodniarza pochwyć musimy, aby nie uszedł rąk sprawiedliwości. Daubrac pomoże nam w tem niezawodnie. Mam nadzieję, że zyskamy jeszcze pomocnika w niewinnie uwięzionym, którego sędzia śledczy natychmiast nawet bez śledztwa uwolnił.

—Całą duszą wezmę udział w tej uczciwej robocie.

—Byłem tego pewien. Teraz proszę pana do siebie, abyśmy ułożyli plan działania.

### III.

Sędzia śledczy Malverne mieszkał w pięknym pałacu, którego front zwracał się ku przedmieściu Saint Honore, a ogród pałacowy dotykał Avenue Gabriele. Z frontu było wejście poniekąd urzędowe, dla osób obcych lub interesantów; przez ogród chodzili znajomi, przyjaciele. Urządzenie pałacu było nietylko dostatnie, poniekąd wspaniałe, ale też prawdziwie artystyczne. Już trzeci rok dobiegał od chwili, gdy Malverne ożenił się z uroczą panną Odettą de Bense-  
rade, która mu wniosła blisko milion franków posagu. Był bardzo szczęśliwy, życie wiódł spokojne, a urozmaicone. Pani Odetta była kobietą piękną, wykształconą lubiła życie towarzyskie, więc dom państwa Malverne stworzył wkrótce jeden z najprzyjemniejszych salonów paryskich. Zbierało się tam towarzystwo bardzo wykwintne, prawdziwie dobrane, ale ściślejsza przyjaźń nie łączyła państwa Malverne właściwie z nikim, tylko kapitan Jacques de Saint-Briac, dawny kolega i przyjaciel Malverne'a bywał tam gościem niemal codziennym, przyjmowany jak brat, prawdziwie po bratersku przez sędziego.

Malverne ubolewał bardzo, że jego żona zachowuje się wobec kapitana cokolwiek sztywnie, jakby sobie przymus dawała w okazywaniu należytej gościowi uprzejmości. Niekiedy też nawet czynił jej o to wyrzuty. Kapitan bywał



często zamysłony, niekiedy posępny, a zawsze z jakimś odzieniem melancholii na twarzy.

Przygoda kapitana z ową damą na wieży nasunęła sędziemu przypuszczenie, że smutek jego jest wynikiem niešťęśliwej miłości. Postanowił sobie ożenić przyjaciela użyć do tego pomocy swej żony. Ułożył sobie plan, jak oboje złączną kapitanowi roztaczać obrazy szczęścia małżeńskiego, jak go będą nęcili do ołtarza, jak mu będzie przypominał przygodę na wieży Notre-Dame obrzydzał płochę erotyczne wybryki. O tem myśląc, wracał z pałacu sprawiedliwości do domu.

Było to koło godziny siódmej po południu. Pani Odetta siedziała w swoim salonie zamysłona, niespokojna. Twarz miała nieco zmienioną, bladą, w oczach było widać ślady niedawno otartych łez. Nerwowo spoglądała co chwila na zegar, to znowu chłodziła się wachlarzem. Znać było rozdrażnienie i niecierpliwość; zapytała służącego, czy mąż już wrócił do domu, a dowiedziawszy się, że przybył przed chwilą, kazała go prosić. Po wyjściu służącego stanęła przed zwierciadłem, usiłowała nadać twarzy wyraz pogodny, nawet wesoły i pospieszyła ku drzwiom, aby oczekiwać męża. Malverne wpadł do salonu, jak zawsze rozpromieniony, gdy miał popieścić żonę i uściskać ją serdecznie.

—Cóż to się dziś stało, że tak późno wrócisz?—zapytała pani Malverne.

—Ależ to bardzo długa historia, a do tego wielce ciekawa. Czytałaś przecież dzisiejsze dzienniki poranne?

—Czytałam.

—No, a ta historia na wieży kościoła Notre-Dame, czy cię nie zaciekała?

Pani Malverne lekko zadrżała i spuściła oczy.

—Widzę, że cię ta historia wzruszyła,—rzekł sędzia.

—O tak, tak, samobójstwo tej kobiety...

—Ależ to nie samobójstwo, to morderstwo.

—Jakto?

—Ta kobieta została z wieży zrzuconą. Przy stole ci wszystko opowiem, ale to mnie dziwi, że kapitan jeszcze nie przyszedł.

—Czy go widziałeś?—zapytała pani Odetta z ożywieniem.

—Nietylko go widziałem, ale z nim mówilem i zaprosiłem go na obiad. Przynależ mi, że przyjdzie. Miał zabawną przygodę na wieży Notre-Dame.

Gdyby Malverne nie był się w tej chwili wychylił przez okno, byłby musiał dostrzedz przerażenie na twarzy swej żony.

—Tak, tak, miał ciekawą przygodę—mówił Malverne, wracając od okna.

Pani Odetta opanowała się prędko i zapytała z udaną obojętnością:

—Jakaż to przygoda?

—Jacques opowie ci sam, a to będzie dla niego karą, a dla ciebie jeszcze bardziej interesującą nowiną, gdy o niej z jego ust usłyszysz. Tymczasem tyle ci powiem, że nasz przyjaciel ma... przyjaciółkę.

—Przyjaciółkę?!—zawołała Odetta zaniepokojona.

—Czemu się tak dziwisz? Jacques jest mężczyzną bardzo pięknym, więc nie dziw, że może łatwo czynić zdobycze w miłości.

—Nie sądziłam, żeby on, tak poważny, tak dystyngowany...

—Kawaler, swobodny. Musimy go ożenić, ażeby zaniechał niebezpiecznych wycieczek na wieżę Notre-Dame.

Pani Odeta była widocznie niezadowolona z tej rozmowy, co nie uszło uwagi męża.

—Tak teraz wyglądasz, jakbyś była o Jacquesa zazdrosną.

—Dowcip bardzo niewłaściwy.

—Wybacz moja droga, to był tylko żart.

—Pan kapitan Saint-Briac—rzekł służący wchodząc do salonu.

—Prosić.

Za chwilę wszedł kapitan.

Malverne wyciągnął ku niemu ręce przyjacielsko wesoło, Odeta zaś była cokolwiek zmieszana.

—Przecież nareszcie—mówił sędzia—już zacząłem cię podejrzewać, że i dziś miałeś jakąś przygodę.

Saint-Briac silił się, aby swobodnie odpowiedzieć, ale znać było, że usposobienie ma cokolwiek przynębione. Nie



dziwiło to Malverne'a, tłómaczył sobie bowiem zachowanie przyjaciela tem, że wrażenia przygód i przykrości musiały mu odebrać zwykłą wesołość i swobodę.

Wkrótce podano obiad. więc udano się ze salonu do sali jadalnej, a tu rozmowa toczyła się o rzeczach obojętnych, ze względu na służbę; dopiero, gdy się udano do gabinetu na czarną kawę i cygaro, Malverne ożywił się jeszcze bardziej, żartował, czyniąc ciągle aluzye do przygody przyjaciela.

—Przez ciebie mój kochany spóźniłem się do domu o dwie godziny. Mogę cię nazwać rabusiem dwóch godzin szczęścia domowego. Musiałem staczać zawziętą walkę z prezydentem sądu i całym prawie senatem, nie mogli bowiem pojąć, jak mogłem uwolnić cię natychmiast, bez żadnego przesłuchania. Staralem się z prokuratorem tak bardzo, że o mało co nie oddałem aktów i nie zażądałem, aby je powierzono innemu sędziemu.

—Istotnie nie wiem, jak cię przeprosić za tyle kłopotów—rzekł Saint-Briac nieśmiało.

—Ej co tam, to wszystko drobnostki. Skończyło się mojem zwycięstwem. Urzędnik policyjny otrzymał nagane, a dzwonnik zostanie jutro oddalony, bo właściwie jego niedbałość była przyczyną wszystkiego złego. No, a teraz, mój Jacques, zabieraj głos i opowiadaj sam Odecie, co ci się wydarzyło.

—Zdaje mi się, że ta cała sprawa zamało jest zajmującą dla pani, że nawet będzie wprost nudną—mówił Saint-Briac, z widocznem zakłopotaniem.

—Proszę, niech pan opowiada—rzekł Odetta, spuszcza-  
jąc oczy.

Saint-Briac milczał.

—A jakżeś ty uparty—zawołał Malverne.—Skoro się zaciąłeś i sam mówić nie chcesz, to już ja opowiem wszystko. Dowiedźże się, kochana Odetto, że nasz przyjaciel spędził całą dobę w więzieniu i dlatego nie był u nas wczoraj.

—W więzieniu!?!—zawołała Odetta z przerażeniem.

—Tak, tak moja droga i byłyby tam zapewne do tej chwili, gdyby nie szczęśliwy zbieg okoliczności, że mnie oddano śledztwo w jego sprawie. Wyobraź sobie: posądzono go

o zamordowanie kobiety. Widziano go, jak wchodził z jakąś damą na wieżę Notre-Dame, a że właśnie wtedy ktoś stracił jakąś kobietę z wieży, więc posądzono o to naszego przyjaciela. Byłby się mógł łatwo od podejrzeń uwolnić, gdyby był wymienił nazwisko swej towarzyski, dla stwierdzenia, że się mordu nie dopuścił, ale tego uczynić nie chciał, a nawet i przedemną zachował najściślejszą tajemnicę.

Odeta ożywiła się, na jej twarzy zjawił się wyraz błogiego zadowolenia i dość wesoło odezwała się do kapitana:

—Zawsze z pana ten sam rycerski...

—Bałamut—dodał Malverne, przerywając żonie.

—Pozwoli pani, że nie przyjmę żadnych pochwał za spełnienie obowiązku. Gdybym miał nawet i życie stracić, nie odsłoniłbym tajemnicy, bo to obowiązkiem mojej czci i mojej miłości dla tej uwielbianej, która mi zaufała.

—Bardzo szlachetnie—rzekła Odeta.

—A tak, szlachetnie zapewne, ale bądź co bądź niebezpiecznie. Żaden sędzia nie byłby Jacquesa uwolnił, nie przekonawszy się poprzednio, że ta erotyczna dama, której z nim na wieży gruchać się zachciało, zupełnie zdrowo do domu wróciła. Już cię uwierzyli mi wreszcie, ale policja będzie Jacquesa śledziła bardzo pilnie, no i tym sposobem erotyka naszego przyjaciela niemało ucierpi, bo nie chcąc policji naprowadzać na ślad, gdzie jego uwielbiona przebywa, będzie musiał przez dłuższy czas wyrzec się gruchania.

—Jakie to straszne być posądzonym o morderstwo i siedzieć w więzieniu—rzekła Odeta, siłąc się wyrzec na powstrzymać łez.

—Dobrze mu się stało; niech nie bałamuci kobiet, a jeżeli już nie może żyć bez przygód miłosnych, to niech przestanie bałamucić cudze żony i wyszukuje sobie jakieś mądrzejsze towarzyski, a nie takie dziwaczki, którym się zachciewa odbierać hołdy na wieży. Czy też ty nie odwiedziłeś jej dzisiaj?

—Tak—odpowiedział Saint-Briac, po chwili wahania.

—A to popełniłeś niedorzeczność. Powtarzam ci, że policja śledzi każdy twój krok. Narazisz się na to, że cię prokurator oskarży o udział w wiarołomstwie małżeńskim.

—Czy prokuratorowi wiadome moje nazwisko?



—Musiałem je przecież wymienić. No, pomóżże mi Ode-  
to zbурzeć teraz przyjaciela i naprowadzić go na drogę  
cnoty.

—Pan Saint-Briac tyle wycierpiał, że nie można już za-  
dawać mu nowych przykrości.

—Widzę, że go chcesz bronić, zamiast oskarżać. Gdybyś  
mu bodaj nagadała kazanie, na jakie zasłużył!... Ale sko-  
ro już na nic się nie zda, tak odrazu, jednym zamachem  
przerobić cię na statecznego człowieka, to powiedz mi tym-  
czasem, co tam w klubie się dzieje? Czy bakarat wciąż od-  
chodzi?

—Bez przerwy, ale coraz mniejsza ochota do gry, bo  
ten berliński hrabia ma szalone nieszczęście i wciąż wygry-  
wa.

—Ten wysoki, arogancki Niemiec?

—Właściwie Prusak.

—Czy to nie jedno?

—A, mój drogi, między Niemcem a Prusakiem jest o-  
gromna różnica, u Niemca znajdziesz poczucie honoru i go-  
dności, u Prusaka tylko prostacką butę i bezczelność, u  
Niemca szlachetne popędy kulturalne, a u Prusaka tylko  
zbojdecką wiarę w siłę pałki; u Niemca poszanowanie cywi-  
lizacyi, u Prusaka wstrętne samolubstwo! Niemiec ceni wie-  
dzę, sztukę, uniwersytety i akademie, Prusak koszary;  
Niemiec bywa zwykle szczery, otwarty, Prusak jest zawsze  
chytry podstępny, obłudny; Niemiec tworzył sobie historję  
wojną, Prusak zdradą...

—Dosyć, dosyć! Widzę, że nie zapomniałeś historii 1870  
roku i amatorów francuskich zegarków; ale jakże to on się  
nazywa?

—Hriaba Zweimark.

—A tak, tak, przypominam sobie. Przyjęto go do klu-  
bu przed miesiącem.

—Ten człowiek wywiera na mnie takie wrażenie uje-  
mne, że wciąż nasuwa mi się podejrzenie, jakoby to był  
zwykły rzezimieszek.

—Zbyt łatwo dostać się do klubu. To źle; za mało  
jest ostrożności.

—Istotnie.

—Więc on wciąż wygrywa?

—A nigdy jeszcze nie przegrał.

—Ma szczęście do kart, jak mąż z przypiętymi przez żonę rogami. Powiadają, że zdradzani mężowie nie mają szczęścia w kartach. Co myślisz Odeto, możebym ja gry próbował?

Odeta zaczerwieniła się i zmieszała.

—Ale wybac, nie chciałem przecież wyrządzić ci przykrości. Ot, żartuję wesoło, a ty się urażasz.

—O, wcale nie, wiem, że żartujesz, ale nie dobrze mi i głowa mnie rozboleła. Wybaczcie panowie, że was pożegniam...

—Może posłać po lekarza?

—Ależ nie ma najmniejszej potrzeby. Godzina odpoczynku i spokoju wyleczy mnie zupełnie.

Po odejściu Odety, nastąpiła chwila milczenia, Malverne spoglądał na kapitana, jakby mu chciał do dna duszy zajrzeć; kapitan wysiłał się, aby spokojnie wytrzymać przenikliwe spojrzenia. Wreszcie rzekł Malverne:

—Ty się musisz ożenić!

—Ożenić? ja? dlaczego? po co?

—Ażeby nie zmarnieć.

Iluz jest bezżennych, a nie zmarnowanych!

—Ale nie z twoim temperamentem. Temperament za-wiedzie cię znowu na jaką wieżę, narazi znowu na jaką inną nieprzyjemność.

—Będę unikał takich przygód.

—Ej, nie oszukuj samego siebie. Ty masz prawdziwą namiętność do erotyki. Będziesz wciąż gonił za cudzemi żonami, aż cię mąż przychwyci, no i... Wszak znasz prawa nasze? Kula w pierś na miejscu.

—Tak trudno, tak trudno zabrać się do tego, co radzisz.

—A jednak to konieczne. Jaki byś ty był szczęśliwy, mając taką żonę, jak Odeta.

Saint-Briac spojrział n przyjciela tak dziwnie, jakby się przeląkł słów jego.

—No cóż? prawda?—mówił dalej Malverne.—Wiem, żeś niegdyś bywał u jej rodziców i czule na nią spoglądał. No, nie oświadczyłeś się, Odeta widać nie dostrzegła twych sen-



tymentów, nie zyskałeś jej wzajemności, więc wyszła za mnie. Dziś może i żałujesz tego, no to wybij klin klinem i poszukaj sobie drugiej takiej Odety. Albo wiesz co? poproszę mej żony, aby ci wyswatała.

—Jakto? czy można? wszakże opowiedziałeś jej, iż mię-wam schadzki z mężatką.

—Powiem teraz, że przysiągłeś przedemną, że te sto-sunki zerwiesz. No i zerwać musisz koniecznie, jeżeli nie chcesz zgubić siebie samego, a unieszczęśliwić rodziny, któ-rą kalasz i rozbijasz.

—Czy ty myślisz, że jabym znalazł szczęście w małżeń-stwie?

—Gdybyś wyszukał taką, jak Odeta, byłbyś równie szczęśliwym, jak ja. Ja mam takie do niej zaufanie, że gdy-byś ty mi nawet ręczył honorem, iż ona mnie zdradza, nie wierzyłbym nawet tobie.

Malverne spojrział na przyjaciela wzrokiem długim, spo-kojnym, a Saint-Briac pochylił się nagle, żeby podnieść cy-garo, które mu z ręki wypadło.

—Pożegnaj cię—rzekł kapitan, wstając z fotelu.

—Poczekaj; pójdę z tobą. Jeszcze nie ma dziesiątej, ba-karat się nie zaczął, możemy wpaść do klubu pozwolić sobie obserwacyi nad grającymi.

Wyszli Spieszac, nie mówili do siebie i tak przeszli kil-ka ulic, aż nie daleko klubu zatrzymał się Saint-Briac.

—Co takiego? czemu stanąłeś—spytał Malverne.

—Spostrzegłem króla bakarata, hrabiego Zweimarka.

—A, widzę go. Rozmawia tajemniczo z jakimś obszar-pańcem, wyglądającym na zbira. Oto! już wsiadł do powozu.

—Pewnie jedzie do klubu.

—Zaciekawia mnie ten człowiek. Wpadło mi na myśl, żeby go kazać policji śledzić.

—Policja powinna była dawno to uczynić.

Wkrótce przybyli do klubu, a pierwszym człowiekiem, którego w sali dostrzeli, był hr. Zweimark. Rozmawiał z kil-ku znajomymi z odcieniem nęsmacznej, sztywnej wyniosło-ści, właściwej Prusakom...

Był to człowiek postawny, silnie zbudowany, liczący może trzydzieści kilka lat życia.

— Panowie! bakarat czeka!—zawołał ktoś z przyległego salonu.

Grupa, otaczająca hrabiego Zweimarka, pospieszyła do stolików, a za nią i Malverne, chcąc grę obserwować. Saint-Briac chciał iść za przyjacielem, gdy ku największemu zdumieniu swemu spostrzegł, iż Zweimark uśmiecha się do niego i zbliża, zastępując mu drogę. Saint-Briac nie mógł uniknąć spotkania, zatrzymał się i spojrzął na Zweimarka z zimną obojętnością.

—Nie masz pan pojęcia, jak mnie to cieszy, że tu pana widzę—rzekł Zweimark do kapitana.

Saint-Briac prawdziwie osłupiał. Z hrabią Zweimarkiem zaledwie kilka słów w klubie wynienił, więc takie poufale i przyjacielskie zachowanie się hrabiego było dlań najzupełniejszą niespodzianką, a uśmiech, z jakim Zweimark przemawiał wydał się kapitanowi szyderczym i obrażającym. Zimno i odstręczająco odpowiedział:

—Nic w tem dziwnego, że mnie pan tu widzi wszakże bywam każdego wieczoru.

—Ale wczoraj pana nie było i dziś nie spodziewałem się pana tu zastać—rzekł hrabia, uśmiechając się ponownie.

—Bardzo mnie to zastanawia, czem sobie zasłużyłem na takie względy pańskie, że pan tak bardzo zajmuje się moją osobą. Możliwe jest tego spodziewać jedynie od bardzo ścisłych przyjaciół, a ja nie zaskarbiłem sobie wcale tego szczęścia, aby mieć zaszczyt zwać pana swoim przyjacielem. Jest moim zwyczajem żądać od ludzi zupełnie mi obcych, ażeby się moimi sprawami nie zajmowali.

Tyle było poczucia godności osobistej i tyle stanowczości w słowach Saint-Briaca, że hrabia spoważniał i udając wielką uprzejmość, rzekł z przymileniem:

—Proszę mnie dobrze zrozumie. Ani natrętnym być nie chciałem, ani też nie miałem najmniejszego zamiaru urazić pana. Przyadkowo byłem świadkiem przygody wczorajszej. Przechodząc koło kościoła Notre-Dame, spostrzegłem tłum ludzi, a wśród tłumu pana, idącego w towarzystwie policyantów. Przyznasz pan, że było to widowisko dla mnie zupełnie niespodziewane, a nie mniej i przykre, gdy



pomyślałem, że członek klubu, do którego i ja należę, tak niemiłej doznał przygody.

—Tak, panie; miałem istotnie przygodę niemiłą. Policya dopuściła się karygodnej pomyłki i wzięła mnie, zamiast jakiegoś moredercy, który zamordował kobietę, zrzucając ją z wieży. Jak pan widzi, nie zatrzymano mnie w więzieniu, skoro mnie tylko sędzia śledczy zobaczył i poznał.

—Pański przyjaciel, pan Malverne.

—Więc i to panu wiadomo?

—Tak panie kapitanie.

—Muszę pana ponownie prosić, a nawet domagać się tego, abyś pan przestał zajmować się moimi stosunkami. Poczytuję to za rzecz tak niewłaściwą, iż nie mogę się powstrzymać od tonu stanowczego, w jakim do pana przemawiam.

—Przykrość, której pan wczoraj doznał, tłumaczy pańską irytację, więc nie obrażam się nią wcale, lecz przeciwnie: poczuwam się do obowiązku usprawiedliwić się przed panem. Nadmieniam panu o tem, chciałem poprostu zwrócić uwagę pańską, że przygoda, której pan doznał, miała świadków, więc gdyby w klubie wieść się o tem rozeszła, należy panu na to być przygotowanym.

W tej chwili pojawił się Malverne. Szukał kapitana. Zadziwił się niemało, zastawszy go w rozmowie z Zweimarkiem.

—Ten pan—rzekł kapitan, wskazując na hrabiego—okazuje mi zbyt wiele uprzejmości, interesując się moją osobą. Opowiadał mi właśnie, że widział wczoraj, jak mnie policya ujęła.

—Ale pan kapitan wie—dodał—w jakim celu o tem mówiłem. Wybacz pan, że się sam przedstawię i usprawiedliwię. Hrabia Zweimark z Berlina. Pragnąłem przedstawić się panu w klubie, panie Malverne, ale tak rzadko pan tu bywa, że nie nastęczyła mi się do tego wcześniej sposobność. Proszę wybaczyć, że zaraz na wstępie znajomości zwracam się do pana z prośbą, aby pan zechciał łaskawie wyjaśnić mi, jakim sposobem mogła policya tak wielkiej dopuścić się pomyłki.

—Tego panu wyjaśnić nie umiem.

—Jeżeli tam był zbrodniarz, to rzecież można go było ująć.

—Pojmie pan, że stanowisko moje urzędowe nie pozwala mi rozstrząsać tej sprawy poza granicami urzędowania.

—Możebym mógł się tego dowiedzieć, czy policya wpadła na trop właściwego zbrodniarza?

—Do tej chwili jeszcze nie.

—A, to prawdziwie ubolewania godne. Straszna rzecz, że taka zbrodnia do tej chwili pokryta tajemnicą. Czy też zwłoki ofiary rozpoznano?

—Do tej chwili nie znalazł się nikt, ktoby znał ofiarę. Prawdopodobnie jest to cudzoziemka, zupełnie nieznaną w Paryżu.

—Zdjęty ciekawością, byłem w mordzie i przypatrywałem się tej strasznie zmiażdżonej ofierze. Sądząc z ubrania, można stanowczo twierdzić, że to nie Paryżanka. Być może, że to jakaś nieszczęśliwa z mojej ojczyzny. Jeżeli pan pozwoli, panie Malverne, będę się starał dowiadywać między znajomymi rodakami, czy ta ofiara nie pochodzi z Niemiec. Jeżelibym się czegoś dowiedział, natychmiast panu doniosę. Czy pan pozwala?

—Sędzia śledczy nie może zabraniać nikomu czynienia wyjaśnień, udzielania spostrzeżeń w sprawach, będących przedmiotem dochodzenia. Bardzo chętnie będę korzystał z uprzejmości pańskiej.

—Panowie wybaczą, że się polecę łaskawej pamięci. Muszę spieszyć do stolika. Od miesiąca prześladuje mnie niemiłosiernie szczęście, że wciąż wygrywam. Nawet szczęście uprzykrzyć się może. Chciałbym dziś koniecznie przegrać, a by moi partnerzy mieli należyty rewanż.

Hr. Zweimark uklonił się i odszedł do przyległego pokoju.

—Ddziwny człowiek—szepnął Saint-Briac.

—Jakie to ciekawe, że on właśnie był koło Notre-Dame, kiedy ciebie ujęto—mówił Malverne, zamyślając się.—Człowiek spędzający całe noce przy zielonym stoliku, nie krąży w dzień bez celu po ulicach, a zwłaszcza tam, gdzie go nie



pociągać nie może, gdzie zwykle spotyka się szary tłum miejski.

—Może przypadek zrządził, że się tam znalazł?

—Zapewne, można wiele składać na karb przypadku, a le rozum każe liczyć się z normalnym, czy naturalnym tokiem rzeczy. W tej części miasta i o tej porze, nie bywają ludzie z tego towarzystwa do którego Zweimark należy. Widocznie był tam w jakimś celu rozmyślnie.

—Przecież nie przypuszcza, że to morderca owej nie-szczęśliwej?

—Owszem, przypuszczam.

—Gdyby był owym mordercą, nie nasuwałyby się przecież ani mnie z owym opowiadaniem, ani tobie ze znajomością.

—Właśnie to budzi podejrzenie. Zaczepił cię raz dlatego, aby ci okazać że cię poniekąd ma w rękach i może kompromitować, a powtóre, aby zyskać sposobność poznania się ze mną.

—Tego to już nie rozumiem.

—Ależ jasne! Zapewne nietylko przedemną, ale i przed innymi wyraziłeś się o nim niekorzystnie. Ponieważ ma sumienie nieczyste, więc się z tem liczy, co o nim mówią, a że niezawodnie dowiedział się od kogoś, jaką masz o nim opinię, chciał cię zniewolić do milczenia, mówiąc o aresztowaniu i dając przez to do poznania, że ma bicz na ciebie.

—Ale po cóż lezie w ręce sędziemu śledczemu?

—Aby zmylić tajną policję. Zdaje mu się, że policja tajna, widząc go w rozmowie ze mną, ocierającego się o mnie, zaniecha się nim zajmować. A również naiwnie myśli, że dam się zbić z tropu i uwierzę w to, że człowiek, szukający znajomości ze sędzią śledczym, nie może być zbrodniarzem. Jest to wyrachowanie dość zuchwale pomyślane, ale nie bardzo zręczne. Widzę z tego, że to człowiek, któremu brutalna bezczelność nie pozwala być należycie przebiegłym. . . No, ale dość tego. Pójdę do domu, bo niespokojny jestem o żonę. Czy zostaniesz tu jeszcze?

—Zostanę, żeby tego Prusaka obserwować. Dziwna jakaś opanowała mnie żądza policyjna, żeby go śledzić, a zresztą po doznanych wrażeniach potrzeba mi rozrywki.

Pożegnali się Saint-Briac smutny był, rozstrojony. Machinalnie zbliżył się do stolika, przy którym ~~siedział~~ hr. Zweimark. I tym razem służyło mu szczęście; wygrywał wciąż. Gra się przeciągała kapitan zaczął się nudzić, więc wyszedł z klub. Na schodach spotkał tego samego człowieka, z którym przed kilku godzinami hr. Zweimark na ulicy zagadkową odbywał konferencję. Człowiek rozmawiał teraz ze służącym klubu i wręczał mu list. Saint-Briac domyślał się, że to zapewne do hrabiego. Nasunęło mu się też na myśl, że może hrabia wyjdzie z klubu, list ten otrzymawszy; dlatego postąpił kilkanaście kroków i stanął w cieniu, na skrajcie ulicy.

Po upływie kilkunastu minut spostrzegł hrabiego, w towarzystwie owego zagadkowego człowieka. Szli krokiem przyspieszonym. Saint-Briac pomyślał, że jakieś ważne sprawy być muszą, skoro hrabia porzucił grę zyskowną i to go jeszcze bardziej podnieciło do śledzenia hrabiego. Zdumiał się też prawdziwie, gdy spostrzegł, że hrabia nie wsiada do swego własnego powozu, czekającego przed klubem, jeno bierze fiakra i rozkazuje mu jechać prędko. Ta wycieczka fiakrem, w towarzystwie podejrzanego człowieka, nasunęła kapitanowi dość fantastycznego przypuszczenia. Bierze też fiakra i każe mu jechać za tamtym.

Fiakier hrabiego skierował się ku polom Elizejskim, a potem skręcił w ulicę Marboeuf i tu się zatrzymał. Kapitan kazał stanąć, mogąc na zakręcie dalsze czynić obserwacje. Towarzysz hrabiego wysiadł, fiakrowi zapłacił i szedł dalej pieszo. Kapitan był pewien, że hrabia pozostał w powozie i teraz pewnie do klubu powróci. Jakże się zdziwił, zobaczywszy, że fiakier wracał pusty. Oczywiście hrabia gdzieś po drodze niespostrzeżenie wyskoczył.

To jeszcze bardziej podnieciło fantastyczne przypuszczenie kapitana. Zaczął sobie wyobrażać, że hrabia Zweimark jest naczelnikiem jakiejś bandy rzezimiejsków, udającym wielkiego pana. Dziwną miał do tego człowieka antypatyę; wzmogła się ona wskutek owej rozmowy w klubie. Zniknięcie hrabiego rozdrażniło go. Kazał się zawieść do kawiarni, w której się spotykał ze znajomymi. Nie zastał dziś



żadnego. Przepatrzył dzienniki, zabawił z pół godziny i wrócił do domu.

Jakież było jego zdziwienie, gdy mu służący wręczył list, przed kwadransem przyniesiony. Rozerwał szybko kopertę i czytał:

“Panie! Spostrzegam, że pan nie zrozumiał moich intencji. To, o czem mówiłem z Panem w klubie, było przestrożą. Zajmujesz się pan moją osobą bardzo żywo, a ja tego nie lubię. Wydajesz pan o mnie opinię uwłaczającą; mógłbym za to pociągnąć pana do odpowiedzialności. Ja nie lękam się nikogo i niczego, więc pan nie możesz mi w niczem zaszkodzić, natomiast ja mogę podać panu Malverne adres tej pani, z którą pan byłeś na wieży. Teraz już ostrzeżenie zupełnie wyraźne. Wystarczy zapewne, aby pana zniechęcić do jeżdżenia za mną, do podpatrywania tego, co czynię”.

List był bez podpisu, ale nie ulegało wątpliwości, że pochodził od Zweimarka, zwłaszcza, że przyniósł go służący z klubu i nie taił, że wysłany został przez “pruskiego” hrabiego.

Saint-Briac zakipiał wściekłością.

—Los Odety na łasce tego nikczemnika!—szepnął:—  
**Ja go muszę zabić.**

Kapitan spędził bezsennie noc drugą.

Miotła nim rozpacz. Co czynić? Honor Odety, jej spokój, jej szczęście, może nawet jej życie, na łasce tego nikczemnika. Przeklinał sam siebie, gardził sobą, sięgał po rewolwer, aby się zabić. Ale czy śmiercią swoją okupi milczenie hrabiego? Zemsta w nim kipieć zaczęła. Zemścić się i zabić Zweimarka! Ale jak? Morderstwa przecież nie popełni, na pojedynek go wyzwąć nie ma powodu. Możeby go wyszukał, stworzył, ale i to nie zabezpieczy Odety. Wyzwany, może bodaj anonimowym listem zdradzić rzecz przed Malvernem!

—Czemu on nie stłumił tej miłości? Czemu? zadawał sobie pytanie i szarpał sobie włosy i uderzał po głowie. Kochali się od lat młodziutkich. Ojciec Odety nie chciał wydać córki za oficera, ojciec Saint-Briac nie pozwalał, aby syn zmienił zawód, Saint-Briac nie mógł obalić przeszkód, po-

stanowił stłumić w sobie miłość, nie oświadczył się wcale, gdy został oficerem, przeniósł się do garnizonu na kraniec Francji. Odeta myślała, że ją kochać przestał, że o niej zapomniał. Oddała rękę Malvernowi.

Wkrótce potem umarł ojciec Saint-Briaca; zostawił majątek jednemu synowi. Jako kapitan porzucił wojsko i objął administrację dziedzictwa. Musiał osiąść w Paryżu. Spotkali się z dawnym przyjacielem Malverne. Zaprosił go do siebie, zapraszał wciąż, bo kochał go jak brata. Saint-Briac przyjmował zaproszenia, bywał, a miłość dawna odżyła w obojgu. Nie przyznawali się do tego, nie mówili o tem, a jednak czuli, że on zdradza przyjaciela, ona męża.

Zdrada była, ale nie było upadku. Odeta nie upadła, nie sprzeniewierzyła się wierności i uczciwości małżeńskiej. Schodzili się ze sobą jak para narzeczonych i tylko poetyckie uniesienia, serdeczny uścisk dłoni, były tą zdradą, której się dopuszczali. Nawet pocałunek ust ich nie złączył. A jednak teraz pogardzał sobą Saint-Briac, bo dojrzał grożące Odecie nieszczęście. Za wszelką cenę trzeba się pozbyć niebezpieczeństwa, trzeba pozyskać milczenie złooczyńcy. Sam przeciw niemu nie wystąpię, bo Zweimark dokonałby zemsty, groźbę spełniając. Wpadło mu na myśl, że może właśnie Zweimark jest mordercą ieznanej ofiary, skoro był na wieży, czy pod nią, w czasie katastrofy. Trzeba na niego zwrócić uwagę tych, co mordercy szukają. Więc dowiedział się w sądzie o adresie Meriareca, na świadka wzywano i do niego pospieszył.

#### IV.

Uderzyła właśnie godzina dziesiąta przed południem, gdy Daubrac ukończył czynności lekarskie w "Hotel Dieu". Zajęty myślą o wydarzeniach przedwczorajszych, chciał zajrzeć na wieżę, żeby się czegoś nowego dowiedzieć, a może panna Verdier pociągała go w tamtą stronę. W tem zjawia się ona sama, z oczyma zapłakanemi, głęboko wzruszona. Zanim zdołała przemówić, Daubrac zapytał jej niespokojnie:

— Co się pani wydarzyło panno Rozalio?



—Największe nieszczęście! mój ojciec umiera, przyniesiono go właśnie do szpitala. Pan taki dobry, panie doktorze, niech pan spieszy do niego, niech go pan ocali.

Daubrac wybiegł natychmiast, za nim spieszyła nieszczęśliwa dziewczyna. Na końcu korytarza znajdował się duży lokal, w którym na razie umieszczano chorych, przywiezionych z miasta. Przy starym dzwonniku był już lekarz dyżurny. Dzwonnik nie dawał już prawie znaku życia. Lekarze z całym wysiłkiem chcieli go ocalić, ale po kilku minutach Rozalia Verdier została sierotą. Dzwonnik skonał na udar mózgu.

Przeróżający krzyk wydarł się z piersi nieszczęśliwej córki i padła omdlona z bólu. Dopiero po upływie godziny ocknęła się i oprzytomniała, przeniesiona do mabulatoryum doktora Daubraca. Dzielność charakteru wrodzona, niezwykła siła woli, dźwignęła biedną dziewczynę. Daubrac zbliżył się do niej serdecznie i rzekł z tkliwością brata:

—Jeżeli w czemkolwiek mogę się pani przysłużyć, to proszę rozporządzać mną z całym zaufaniem. Przedewszystkiem niech mi pani powie szczerze, ale zupełnie szczerze, jak bratu, co pani zamyśla uczynić?

—Pracować, jak dotąd.

—Nie wątpię, ale zapewne pani nie zechce pozostać na wieży?

—Pozostać nawet nie mogę, bo już wczoraj dano memu ojcu dymisyę i dziś kazano mu się z wieży wyprowadzić, by się opróżniło miejsce dla nowego dzwonnika. I ten cios właśnie zabił mi ojca. Muszę natychmiast zabrać wszystko z mieszkania co moje i szukać sobie schronienia.

—Gdzież pani tak nagle podzieje całe urządzenie mieszkania?

—Urządzenie! nie mieliśmy żadnego. Wszystkie sprzęty są własnością miejską, a ja mam tylko cośkolwiek ubrań, bielizny, pamiątek po matce, a teraz po ojcu. Całe to mienie moje zmieści się w jednym kufierku. Przenieść się łatwo.

—Ale dokąd? Czy pani zastanowiła się nad tem pannó Rozalio, że biorąc mieszkanie, naraża się pani na różne przy-

krości i niebezpieczeństwa? Pani musi mieszkać pod jakąś opieką.

—To nie możliwe, bo nie mam teraz nikogo, prócz Boga.

—I prócz serdecznego przyjaciela. Niech mi pani zaufa. Wprawdzie mało się znamy, ale mimo tego mogła się pani przekonać, że nie byłbym zdolny do nadużycia zaufania kobiety.

—Ufam panu, panie doktorze, ale cóż pan może dla mnie uczynić?

—Zaopiekować się panią, jak siostrą. Przedewszystkiem chciałbym pani zapewnić ojcowską opiekę. Jeden z moich dobrych znajomych mógłby pani użyczyć u siebie mieszkania.

—Panie doktorze, nie mów pan tak, to mi sprawia wielką przykrość, a zwłaszcza, że pan to mówi.

—Panno Rozalio!—proszę pamiętać, że mówię jak brat do siostry. Temu znajomemu, o którym mówię, oddałbym własną siostrę pod opiekę. Jest to człowiek prawy, szlachetny, który sobie poniekąd wziął za cel życia ochraniać słabe istoty od tego złego, co na nie czyha, być strażnikiem cnoty, a walczyć ze wszelką niegodziwością. Jestto baron Meriadec. Zajmuje obszerny dom z osobnym pawilonem, w którym mieszka zarządczyni jego domu, osoba w poważnym wieku, uczciwa, stateczna, najwierniejsza długoletnia służba barona, oddana mu całą duszą; mogłabyś pani podzielić z nią mieszkanie i urządzić sobie w niem pracownię.

—Lecz jakim prawem? z jakiego tytułu?

—O to niech się pani nie troszczy, ani nie pyta. Baron uczyni to nie dla pani, lecz dla mnie. Jest moim serdecznym przyjacielem, więc mogę żądać od niego tej przysługi, bez ubliżenia sobie i pani.

Sierota suojrzała na doktora długim, przeciągłym wzrokiem, jakby mu chciała zajrzeć do głębi duszy i zapytać: "Dlaczego ty się mną tak zajmujesz?" Nastąpiła chwila milczenia, Daubrac zrozumiał to pytanie wzroku, wyciągnął rękę ku Rozalii i rzekł tkliwie:

—Wszak jestem ci bratem, panno Rozalio i niczem, tylko bratem. Znam panią dobrze, wyznam szczerze, że cię śledziłem, badałem to twego życia i powziąłem dla ciebie cześć



prawdziwą. Dziś, u zwłok twojego ojca wyrażam ci uczucia braterskie, a kiedyś, później poproszę...

I znowu nastąpiła chwila milczenia. Sierota zarumieniła się, łzy spłynęły jej z oczu.

Daubrac ponownie wyciągnął ku niej rękę:

—Mówię z panią bardzo poważnie, z wielką rozważą, a z głębi serca. Ufaj mi pani i usłuchaj mojej rady. Przyjm schronienie u barona Meriadece.

Wierzę panu i zastosuje się do pańskiego życzenia.

—Dziękuję pani. Proszę pozwolić, że pošlę służącego za panią po rzeczy. Niech pani pożegna tyloletnią siedzibę i zabierze wszystko, co pani miłe, a ja tymczasem poczynię zarządzenia do ostatniej usługi ojcu.

Rozalia wyciągnęła obie ręce ku doktorowi, uścisnęła je serdecznie i rzekła ze łzami:

—Zacny pan jesteś, panie doktorze. Niech ci Bóg nagrodzi.

W dwie godziny potem jechał doktor z panną Verdier na ulicę Cassette. Panna Verdier była zamyślona, nieśmiała i złamana bólem sierocym. Daubrac wiedział dobrze, że daremne bywają wszelkie słowa pociechy, że raczej rozdzierają rany, niż je zablźniają, więc nie silił się nawet na pocieszenie sieroty, a natomiast odrywał ją od rozpaczliwych myśli rozwijaniem planów na przyszłość. Po kilkunastu minutach zatrzymała się dorożka przed domem barona.

Meriadece rozmawiał z malarzem i naradzali się właśnie nad tem, jakby wysledzić owego niegodziwca, który im uszedł. Szasza rozmawiał w przyległym pokoju z innym gościem barona. Był to malarz Kosiński, Polak z Warszawy, dobry znajomy Fabrequette'a. Fabrequette dowiedziawszy się, że Kosiński mówi biegle po rosyjsku, sprowadził go do barona, aby przyjemność sprawić Szaszy. Istotnie uradował się Szasza niezmiernie, gdy usłyszał mowę ojczystą. Rzucił się Polakowi na szyję z radości, ożywił się bardzo i mówił, mówił bez końca, jakby się chciał wygadać w ojczystej mowie za ten cały czas, przez który jej nie słyszał.

—Mikołaj Trofimowicz powiedział mi raz o tem, że Polacy mieli własne wojsko i że nasi wojsko polskie pobili, ale powiedział przy tem, że to Prusacy do tego naszych zmusili. On

mi nieraz opowiadał, że wszystko złe na świecie dzieje się przez Prusaków, bo oni chcieliby wszystkich Słowian opanować i dlatego ich kłóca pomiędzy sobą.

—Prawdę powiedział Mikołaj Trofimowicz, ale to jeszcze nie wszystko, co o tem powiedzieć potrzeba. Człowiek uczciwy, nie da się nawet szatanowi nakłonić do złego. Ale nie po to ja tu przyszedłem, żebyśmy o takich rzeczach mówili, bo młodziutki jesteś i niczemu nie zaradzisz.

—Przecież wyrosnę kiedyś.

—Teraz mój kochany panie Szasza—mówmy o przyjemniejszych rzeczach.

—Czyż może być dla mnie co przyjemnego, gdy nie wiem co się dzieje z moją mamą. Ojczym ucieka przedemną: on coś złego mamie wyrządził. Żebym mógł znaleźć mamę moją! Możeby pan na to poradził, pan taki dobry.

—Wszyscy będziemy się o to starali, a tymczasem trzeba się pocieszać tem, że masz koło siebie najlepszych przyjaciół i chociażby nawet matki ci zabrakło, nie brakłoby ci opieki uczciwych serc ludzkich.

Nagle drzwi się otworzyły i wpadł Fabrequette.

—Przestańcież już rozczulać się ze sobą po rosyjsku, a chodźcie do nas. Mamy gości.

Nie czekając odpowiedzi, porwał jedną ręką Kosińskiego, a drugą Szaszę i wyciągnął ich do przyległego pokoju. Tu już zastali Daubraca i Rozalię. Doktor opowiedział baronowi o nieszczęściu Rozalii i o propozycyi, którą jej imieniem barona uczynił. Meriadec wyciągnął ku niej ręce przyjacielsko i rzekł z nadzwyczajną uprzejmością i szczerze uradowany:

—Ależ to prawdziwie zrządzenie Opatrzności, że pani była łaskawa zgodzić się na propozycję mego przyjaciela. Łamałem sobie głowę nad tem, skąd wziąć opiekunki dla sieroty. Będę najszczęśliwszy, jeżeli pani zechce łaskawie być dla niego starszą siostrą, zastąpić mu matkę.

O opowiedział Meriadec całą historję, jak Szasza dostał się pod jego opiekę. Rozalii bardzo się ta myśl spodobała; sierota zapragnęła nieść ulgę drugiej sierocie, bo jej się zdało, że przez to samo dozna ulgi w cierpieniu.

Dziękuję pani za pomoc i zaraz przedstawię pupilka,



Wtedy to Fabrequette zerwał się z miejsca i sprowadził Szaszę i Kosińskiego z przyległego pokoju.

—Mój kochany przyjacielu—rzekł Meriadec do Szaszy—panna de Verdier jest tak łaskawą, że chce być twoją towarzyszką i opiekunką, jeżeli na to pozwolisz.

Szasza spojrział na Rozalię śmiało i przenikliwie, ukłonił się jej uprzejmie i rzekł z naiwnością dziecięcą:

—Pani mi się bardzo podoba. Pani jest bardzo piękną i dobra, widać z twarzy. Nie mam siostrzyczki. Nie raz widziałem, jak w sąsiedztwie naszym, różnym chłopcom do brze było z siostrzyczkami. Bardzo im zazdrościłem, a teraz już i ja będę miał siostrę. Niechże mi pani mówi "ty", jak braciszkwowi.

Meriadec ucieszył się bardzo tą wielką sympatją, jaką Szasza powziął dla Rozalii. Dziecko zyskało stałą opiekunkę, a Meriadec zyskał teraz zupełną swobodę do czynienia poszukiwań. Przybyła też zarządczyni domu barona, aby się przedstawić nowej lokatorce i ofiarować jej swoje usługi. Rozalia udała się z nią do pawilonu, aby się tam urządzić, a Szasza pospieszył za nią, uradowany niezmiernie z pozyskania takiej opiekunki.

Baron, doktor, Fabrequette i Kosiński układali teraz w dalszym ciągu najrozmaitsze plany, jak pochwycić podejrzanego ojczyrna sieroty i co uczynić z dzieckiem, bez uciekania się do interwencyi policyi. Chcieli biednemu chłopcu oszczędzić tych wrażeń, jakichby doznawać musiał, gdyby go wzięto do biurokratycznego śledztwa.

—Matki mu nie wskrzesimy—rzekł Meriadec—ale przynajmniej pomścimy jej śmierć.

Rozmowę przerwało dzwonicie, za chwilę służący przyniósł list i podał baronowi.

—Kapitan St. Briac—przeczytał Meriadec.—Prosić—rzekł do służącego.

Wszystkich ogarnęło zdziwienie. Wszedł kapitan.

—Chciałem pomówić słów kilka z panem baronem, a jeżeli pan w tej chwili zajęty, pozwoli pan może odwiedzić się innym razem.

—Rozmawiamy właśnie o sprawie, która może i pana zainteresuje. Mimowoli wyrządziliśmy panu wielką przy-

króść, przyczyniając się do pańskiego aresztowania. Ta przykra nadzwyczajnie pomyłka pochodzi atoli jedynie z winy niedołejnej policji, a my pragniemy wynagrodzić panu wyrządzoną przykróść, przez ujęcie zbrodniarza. Jeżeli zamiary nasze pana interesują, będę prawdziwie wdzięczny, gdy pan w naszych naradach udział przyjąć zechce.

—Bardzo chętnie, zwłaszcza, że po to do pana przybyłem, aby szukać pomocy w zdemaskowaniu podejrzanego człowieka.

—W takim razie możemy powitać w panu panie kapitanie, nowego sprzymierzeńca. Doktor A'Aubrac, malarz Fabrequette, malarz Kosiński. Prócz pana Kosińskiego, byliśmy już panu po części znani.

—Przedewszystkiem muszę się panu usprawiedliwić— rzekł Saint Briac—że ósmielam się niepokoić pana odwiedzinami. Byłem pewien, że panowie przekonaliście się dostatecznie o pomyłce i że będziedziecie się poczuwali do obowiązku okazać mi to przy sposobności, a przytem też zapragniecie, z równą co na wieży gorliwością, zająć się prawdziwym zbrodniarzem. Być może, iż się mylę, zatem z całym zastrzeżeniem chcę mówić o człowieku, wielce mi podejrzanym. Może się mylę, że on jest poszukiwanym mordercą, a nie mylę się w tem, że jest niegodziwcem. Tego człowieka widuję w klubie, gdzie bywa niemal codziennie. Byłoby może potrzebne, czy pożądanе, aby ten pan, co widział, jak rzucono nieszczęśliwą kobietę z wieży, zechciał przyjrzeć się podejrzanemu.

—Myśmy go już widzieli—odezwał się Meriadec.

—Jak wygląda?—zapytał ciekawie Saint-Briac.

Baron opowiedział o przygodzie w mordzie i dał opis człowieka, w którym Szasza poznał swego ojczyma.

Fabrequette przerwał:

—Ej co tam opisy, słowa, frazesy. Oto najlepszy opis. To zrekłszy, wyjął z kieszeni szkic portretu wcale wyraźny.

—Może to on?

—Hriabia Zweimark—zawołał Saint-Briac.

—A widzicie! lepszy pędzel od języka. Skorom tylko



dopał papieru i ołówka, zaraz wyrysowałem sobie z pamięci tego wilka.

—Sądzę, że należałoby się jeszcze upewnić—rzekł doktor.—Niech ten mały Rosyanin przypatrzy się szkicowi. Jeżeli on pozna w nim swego ojczyma, stwierdzonem będzie podobieństwo szkicu.

Meriadec przyprowadził Szaszę. Gdy mu szkic pokazano, zawołał:

—To on, co mi mamę gdzieś schował! To on, ten Niemiec, mój ojczym.

—Hriabia Zweimark—odpowiedział Saint-Briac.

—Jaki hrabia? On nie jest żadnym hrabią—odpowiedział Szasza.

—Jakże się nazywa ojczym?—zapytał Meriadec.

—Ja nie wiem. Mama mówiła mu: "Guilhomm" po francuską. Służba nazywała go rozmaicie, najczęściej mówiła: pan Niemiec. Mikołaj Trofimowicz powiedział raz, że to żaden szlachcic, tylko prosty Niemiec. Raz tylko zobaczyłem kopertę z listu, od niego pisanego. Na kopercie był adres: "Wilhelm Kennemann". To sobie dobrze zapamiętałem.

—Nowa zagadka—rzekł Meriadec.

Szaszę odprowadzono do Rozalii, z którą się na dobre zaprzyjaźnił i radzono dalej.

Gdy kapitan opowiedział o nocnej wycieczce hrabiego fiakrem na ulicę Marboeuf, rzekł Meriadec:

—Z tego, co mi Szasza opowiadał, domyślać się można, że ich zawieziono w nocy właśnie na ulicę Marboeuf. Opowiadał, że jechali w górę, po spadzistej ulicy. Wszystkie szczegóły, które zapamiętał, przemawiają za tem, że to była ta ulica. To przypuszczenie potwierdza nocna wycieczka, tak zagadkowa. Prawdopodobnie tam jest istotna siedziba, czyżby zbrodnica i tamby go pochwyć trzeba.

—Ja to zrobię—zawołał Fabrequette—ja się do tej nory dostanę.

—Przedewszystkiem—rzekł Daubrac—trzeba podejrzanego pokazać Szaszy. Skoro bywa w klubie, możnaby malca gdzieś ukryć w pobliżu, o tej porze, gdy do klubu zwykły chodzić. Możeby pan Saint-Briac wziął malca w opiekę i pod klubem straż zaciągnął.

—Wybaczcie panowie, że ja tego nie uczynię. Mówiłem panom zupełnie szczerze, iż nie mogę ściągnąć na siebie podejrzenia tego człowieka. Niełękam się o siebie, jeno o niewinną kobietę, którąby skompromitował, gdyby dostrzegł, że go śledzę, przy tej sposobności raz jeszcze upraszam panów, abyście działali tak, żeby moja osoba została na uboczu.

—A więc poprosimy pannę Verdier—rzekł Meriadec.

Zgodzono się na to.

Narady nie trwały długo. Nasunęły się dwa zadania. Sprawdzić, czy hr. Zweimark i ojczym Szaszy są tą samą osobą i zbadać tajemnicze mieszkanie przy ulicy Marboeuf.

Saint-Briac ponownie prosił, aby jego nazwiska nie wymieniano nigdzie, aby go też nie odwiedzano w mieszkaniu. Był pewien, że Zweimark ma współników zbrodniczego życia, a współnicy tworzą też dobrze zorganizowaną szajkę szpiegów, śledzących każdego, kto im w drogę wchodzi. Przekonała go otem nocna przygoda.

Przyrzeczono mu najściślejszą dyskrecyę. Pożegnali się.

Gdy kapitan wychodził, tak był zamyślony, że nie dostrzegł jakiegoś ciekawca, co z drugiej strony ulicy upoczywie w dom barona się wpatrywał.

## V.

Po tej naradzie wojennej wyszedł Daubrac z Fabrequetem. Daubrac zdążył na obiad, a malarz wciąż mu towarzyszył, chociaż doktor nie bardzo sobie tego życzył. Może nawet cokolwiek się do malarza uprzedził, tłómacząc sobie nie bardzo korzystnie jego rostrzepanie. Chcąc się go pozbyć, rzekł Daubrac sucho i stanowczo:

—Pożegnam pana, gdyż idę na obiad.

—Jaki pan szczęśliwy!—rzekł malarz żartobliwie.

—Chyba to szczęściem nie jest, jeżeli się je obiad.

—Ale nieszczęściem, jeżeli się nie je obiadu.

—Chyba tego nieszczęścia pan nie doświadcza?

—Ależ panie, bardzo często. Dziś także grozi mi takie nieszczęście.

Doktor nie umiał sobie wytłómaczyć, czy to pieczeniara-



stwo przemawia przez malarza, czy też łobuzowska szczerłość. Kierując się w życiu raczej optymizmem w sądzeniu ludzi, niż podejrzliwością, skłonił się Daubrac do mniemania, że z ust malarza przemawia tylko szczerłość i prostota.

—Czy pędzel tak mało daje dochodu?

—Bywa rozmaicie. W zeszłym miesiącu wymalowałem masarzowi szyld, wiernie według jego własnego pomysłu. Była na nim głowa wieprza, dwie kielbasy i cztery kiszki. Może pan sobie wyobrazić, jakie to arcydzieło. Otrzymałem za nie piętnaście franków, na czysto trzy franki więcej niż farby kosztowały. Ale byłbym niewdzięczny gdybym nie dodał, że wspaniałomyślny masarz, obdarza mnie codziennie porcyjką wędlin. Ale niechże też pan nie myśli, że ja tylko godła masarskie maluję. Owszem! zdarza się niekiedy malować i portret. Moja praczka dała mi zarobić znaczną kwotę, bo aż trzydzieści franków; wymalowałem jej portret syna, który służy w straży pożarnej. Ale cóż z tego, kiedy z owych trzydziestu franków odciągnęła sobie dwadzieścia siedm za pranie bielizny, przez cały rok.

—Lepszej klienteli pan znaleźć nie może?

—Możeby się i znalazła, ale na to potrzeba mieć ubranie cośkolwiek modniejsze od mojego wyrabiać sobie stosunki pośród dziennikarzy, zjednać sobie reklamę, no i nadać się cośkolwiek, ustroić się w wielką powagę, a ja tego wszystkiego nie umiem. Ale co tam, z głodu nie zginę, masarz wędlin dostarcza.

—A możeby pan dziś pozwolił, dla odmiany, zaprosić się na obiad, bez wieprzowiny—rzekł Daubrac, któremu łobuzowska szczerłość Fabrequetta podobać się zaczęła.

—Nie zła myśl, panie doktorze. Przyjmuję chętnie to zaproszenie, jako zadatek na jakąś robotę, którą pan u mnie zamówi.

—I owszem, z całą przyjemnością skorzystam z talentu pańskiego.

Weszli do jednej z przedniejszych restauracyi, gdzie było dość pusto, bo już właściwa pora obiadowa minęła.

—Doskonale nam się wydarzyło, że nie ma prawie nikogo, będziemy tu mogli swobodnie rozmawiać. Siądźmy sobie tutaj w samym kącie. Gdyby nawet kto jeszcze przyszedł,

to mielibyśmy przynajmniej sąsiada przed sobą, a nie za sobą.

Zasiedli wygodnie, Daubrac zamówił obiad, który malarzowi wydał się niesłychanie zbytkowny. Potem zaczęli rozprawiać o planach wojennych.

—Powiadam panu—rzekł Fabrequette—że ja znajduję ten dom na ulicy Marboeuf. Tam musi być jaskinia jakichś łotrów.

—Niech pan nie mówi tak głośno—szepnęła Daubrac—bo oto mamy już sąsiada.

Jakiś niepozorny człeczyzna szedł za nimi, czego na ulicy nie spostrzegli, a teraz usiadł w restauracyi obok nich, przy najbliższym stole. Zamówił jakieś potrawy, wskazując służącemu palcem na spisie, a na zapytanie, czy może sobie podać wina, rzekł głośno:

—Nie słyszę. Co? głośniej!

Służący powtórzył pytanie dość głośno, ale przybysz i teraz jeszcze wołał:

—Co? głośniej! Nie słyszę.

Był to człowiek w podeszłym wieku, ze siwą brodą, zgarbiony; na oczach miał założone niebieskie okulary.

—A to głuszec—zawołał Fabrequette.—Przy nim możemy sobie swobodnie rozmawiać.

—Niekoniecznie—szepnęła doktor.—Mnie się ta jego głuchota bardzo podejrzanie wydaje.

—Zaraz się przekonamy—rzekł cicho malarz i zawołał głośno:—może to jaki szpieg udający głuchego.

Stary człowiek widać nie słyszał, bo ani się poruszył, ani nie drgnął i czytał najspokojniej gazetę.

—A widzi pan—rzekł malarz—próba się doskonale udało; żeby nie był naprawdę głuchym, to by był bodaj cokolwiek się poruszył, gdy go szpiegiem nazwał.

—Mimo tego radzę być ostrożnym.

—Wyborna zupa! już ten wstęp do obiadu przejmuję mnie wielką dla pana wdzięcznością. Zaraz zabiorę się do jakiegoś obrazu dla pana, skoro tylko odkryję jaskinie opryszków na ulicy Marboeuf. Ale niech też mi pan powie, dlaczego baron upiera się przy tem, aby działać na własną rękę, a nie chce wezwać interwencyi policyi?



—Przecież słyszałeś pan, że Saint-Briac chce zachować w tajemnicy nazwisko kobiety, która była z nim na wieży.

—Ależ czy tak, czy owak policya będzie musiała zająć się tym ptaszkiem, bo choćbyśmy go pochwycili, to go przecież nie będziemy więzili w jakiejś piwnicy, tylko oddamy władzy. Właściwie powiedziawszy, to już bardzo prędko możemy go pochwycić. Skoro tylko panna Verdier z tym małym Rosyaninem stanie na czatach przed klubem, fakt będzie dostatecznie wyjaśniony, bo chłopiec zdoła przecież poznać swojego ojczyma.

—Chłopiec może poznać ojczyma, ale to jeszcze nie będzie dowodem, że ten ojczym jest mordercą jego matki. Ja nie mam czasu zajmować się tą sprawą, ale będę bardzo wdzięczny, gdy mnie panowie będziecie o wszystkim informowali.

—Tak, tak, teraz mi czas na ulicę Marboeuf. Spodziewam się, że odkryję jaskinię straszego łotrostwa.

—Niechże pan tak głośno nie mówi—szepnął doktor, wskazując nieznacznie na sąsiada.

—Ależ to głuszczać panie, głuszczać.

Stary człowiek skończył obiad, zapłacił i wyszedł.

A widzi pan panie doktorze, że ten człeczyna to nie żaden szpieg, bo gdyby nim był, toby teraz nie opuszczał lokalu, ale czekał, aż my wyjdziemy, aby nas śledzić.

Doktor i malarz także zjedli i rozeszli się. Daubrac wręczył na odchodnym malarzowi dziesięć franków i rzekł:

—Zadatek na obraz, który u pana zamówię.

—Łaskawco, doktorze, dzielny z pana człowiek. W samą porę, bo nie miałem już ani jednego centima.

Daubrac pospieszył do szpitala, Fabrequette zagwizdał wesołą nutę, kupił sobie cygaro i podążył na ulicę Marbeuf.

Puszczał kłęby dymu z wonnego cygara, idąc przez plac Concordia, a potem przez Avenue Champs-Elysees, a gdy już zbliżał się do ulicy Marbeuf, zagasił cygaro, schował je starannie, a natomiast wyjął z kieszeni krótką fajeczkę, nappełnił tytoniem i zapalił, aby mieć wygląd zwykłego robotnika malarskiego, poszukującego pracy.

Na początku ulicy Marbeuf był duży warsztat powoźniczy Fabrequette malował tu niedawno herby i monogra-

my na powozach, więc wszedł śmiało do warstata. Przyjęto go tam życzliwie. Nie gardził robotnikami, rozweselał wszystkich, polubiono go, to też skoro wszedł, powitano go wesoło.

Werkmistrz aż pod boki się schwyił, zobaczywszy wesołego malarza.

—Ho! ho!—zawołał—nasz artysta! Co pan tu porabia?

—Dobrze mi tu było, moi panowie, więc zatęskniłem za wami i chciałem was zobaczyć. No, a także się o robotę zapytać.

—Ej, roboty nie ma, ale pogadać możemy. Jakże się panu powodzi, panie Fabrequette?

—Zawsze dobrze, bo mogłoby się gorzej powodzić. Bardzo dobrze. Pieniędzy nie było i niema, ale gęba jest do gwizdania i nie popsła się jeszcze, ale dopóki gwizdać można, to wszystko dobrze. Já maluję nie tylko monogramy na powozach, ale i portrety. Możeby kto portretu potrzebował?

—Ej, dziś nikt nie każe się malować, bo fotograf za byle co robi portret. Ale, ale. Czy pan zajmuje się ścieniem malarstwem?

—Oczywiście. Maluję freski po kawiarniach, po salach balowych, gdziebądź, byle zapłacono.

—A no, to możeby coś było dla pana. Widzisz pan, panie Fabrequette, na końcu ulicy wielki, stary, trochę zapadły dom?

—Widzę, niby sowie gniazdo. Br! br! jaskinia, więzienie. Przez dziesięć lat tam nikt nie mieszkał, bo właściciel przeniósł się na wieś, a tej starej rudery nikt wynająć nie chciał. Dopiero przed tygodniem wynajął ją jakiś dziwak. Powiadają, że niemiecki hrabia. Słyszałem, że mają odnawiać cały dom, to oczywiście byłoby dla pana zajęcie.

—Dziękuję, bardzo dziękuję za radę, A czy tam już kto mieszka?

—Przed kilku dniami przyjechał tam ów hrabia z żoną i dzieckiem, przenocował, a na drugi dzień rano wyjechali i nie wrócili. Tylko kamerdyner pilnuje domu, zawsze nocuje, a niekiedy i w dzień przychodzi. Ot, teraz właśnie do domu wrócił, tedy przechodził i nawet prosił mnie po drodze, abym mu wskazał malarza.



Fabrequete omało ze skóry nie wyskoczył. Nie wątpił, na chwilę nawet, że mu wskazano norę opryszków, że mu odkryto miejsce noclegu ofiary, strąconej z wieży. Puścił kłęby dymu, pogwizdywał wesoło aryjki i szedł rażno do wskazanego domu.

Dom to był ponury, zaniedbany, podobniejszy do kaza-mat, do jakiejś małej twierdzy, niż do mieszkania w Pa-ryżu. W oknach pozapuszczane story staroświeckie druciane, brudne, ciemne; brama żelazna, nabijana płaskimi gwoździami. Dach staroświecki, wysoki, spadzisty, pokryty ceglana dachówką, od starości zczerniała zupełnie. U bramy zwisała żelazna rękojeść dzwonka.

Fabrequette przypatrywał się domostwu z wielką uwagą. Dla malarza był to przedmiot ciekawy, ale chyba nie bardzo ponętny, skoro nawet ten wesół zawsze, poniekąd swawolny Fabrequette, posmutniał nieco i spoglądał na domostwo z zabobnym lękiem. Przemogła żyweś temperamentu i fantazyja pocziwego łobuza.

—Ej, co? raz kozie śmierć—mruknął i pociągnął z fajeczki, wypuścił kłęb dymu, zagwizdał wesoło i zadzwonił silnie.

Nikt się nie zjawił. Zadzwonił po raz drugi. Wtedy otwarło się okienko przy bramie, małe, zakratowane i z po za krat odezwał się ktoś:

—Proszę poczekać—zaraz otworzę.

Wnet potem zaskrzypiał klucz w zamku i brama się rozwarła; na progu stanął człowiek chudy, kościsty, czarno ubrany, w białym krawacie.

—Co za interes? do kogo?—zapytał malarza szorstko.

—Proszę wybaczyć, że jestem tak natrętny—odpowiedział Fabrequette, siląc się na uprzejmość.—Jestem malarzem szukającym zajęcia, a słyszałem, że tu byłaby dla mnie robota.

—Możesz pan znaleźć robotę, jeżeli umiesz artystycznie wykonywać malowidła ściennie. Właśnie teraz trzeba będzie wymalować salę jadalną.

—Owszem, owszem; bardzo chętnie. Maluję w każdym stylu.

Fabrequette nie żałował fantazyi i języka, aby swe

zdolności jak najbardziej wychwalić. Potoki słów płynęły ka skadą z ust jego, a czarno ubrany człowiek słuchał cierpliwie, jakby z podziwem i zajęciem, wreszcie przerwał:

—Widzę widzę, że pan zna się doskonale na swojej sztuce. Ale taki niepospolity artysta, zechce zapewne zbyt drogo policzyć sobie za pracę.

—O, wcale nie; maluję z zamiłowania, z powołania artystycznego, więc nie zdzieram klientów. Proszę być spokojnym.

—Bardzo pięknie, bardzo pięknie. Będzie robota, będzie, ale to odemnie nie zależy; powiem mojemu panu. Nie wątpię, że się zgodzi, ale będzie chciał niezawodnie zobaczyć w pierw próbę pańskiej roboty.

—Rozumiem, oczywiście i zupełnie naturalnie.

—W takim razie proszę wejść. Pokażę salę jadalną, abyś pan wymierzył sobie ściany, ułożył projekt malowidła i obliczył koszta, a jutro przedstawię pana hrabiemu.

—To pan hrabia tu nie mieszka?

—Nie, panie kochany. Dom zaniedbany, nie urządzony. Hrabia sprowadzi się dopiero po zrestaurowaniu całego domu. A więc proszę wejść.

To rzekłszy, człowiek w białym krawacie rozwarł bramę szerzej i Fabrequette mógł się mu teraz dokładnie przypatrzeć. Był równie wstrętny jak domostwo, z którego się wynurzył. Włosy ostrzyżone krótko, oczy zapadnięte, ponure, a przenikliwe i kości na policzkach ostro wystające; nos ścięty, usta wykrzywione.

—A to model na zbrodniarza, galernika, mordercę, łotra—pomyślał Fabrequette i jakoś nie spieszył się z wejściem do sieni. Stał w bramie i spoglądał na ów model z większym jeszcze lękiem, niż na domostwo. Może byłby się cofnął i odszedł, ale przypomniał sobie naradę wojenną, jak na niej szumnie zapewniał, że odkryje norę przy ulicy Marbeuf. Co by o nim powiedziano, gdyby z niczem powrócił? Zebrał się na odwagę i próg bramy przestąpił. Zaledwie się to stało, wstrętny człowiek zamknął prędko bramę na klucz.

—Czy się pan boi, żebym nie uciekł?—zapytał Fabrequette.



—O, wcale nie. Zamykam bramę dla porządku, dla zasady, a także i dlatego, że tu pełno ciekawców, co natrętnie zagląda ją i weszają, chociaż tu nie ma nic ciekawego. Stary dom. Nikt nie mieszkał w nim przez lat dziesięć, stał pustką, niszczał, teraz pan hrabia kupiwszy, chce uczynić piękną rezydencję. Ot i wszystko. Ciekawość, natręctwo gapiów nie miłe, więc bramę zamykam... Ot i wszystko.

Sień była wielka, urządzona do zajazdu, ale dziwnie ciemna, ponura, o sklepieniu niskiem, spłaszczonem. Fabrequette dojrzał z boku kilkoro drzwi żelaznych, a na końcu schody wąskie, ciemne. Doznał wrażenia, że się znalazł w więzieniu średniowiecznem, w którym za chwilę ujrzy kaźnię z przyrządami straszliwych tortur. Mimo tego ogarnęło go dziwne zadowolenie. Cieszył się, że go tu wpuścił naiwny kamerdyner, nie przeczuwając, że nie po robotę malarską tu przyszedł, jeno, by wyśledzić norę opryszków. Natrasał się nawet w duszy z głupoty kamerdynera, któremu nie wpadło na myśl, że nikt przecież nie będzie szukał zajęcia w ulicach pustych, odległych, a zwłaszcza w domu, w którym oczywiście nikt nie mieszka, skoro okna odmykane od dawna. Cieszył się pocziwy łobuz, że podpatrzy wszystko, że wreszcie odda w ręce władzy mordercę zbrodniarza. I kpił sobie w duszy z ponurego człowieka, że się dał podejść, że podstępnie nie poznał.

Czarny człek szedł przodem po schodach ciemnych, Fabrequette zdązał za nim i potykał się co chwilę. Stanęli na piętrze, w korytarzu wąskim, mrocznym, brudnym. Kamerdyner otworzył drzwi i wpuścił przez nie malarza do pokoju dużego, w którym płonęły dwie świece w srebrnych lichtarzach, a okna były szczelnie zasłonięte okiennicami.

A cóż to za piwniczny, czy grobowy dom. Wszędzie ciemno, ponuro. W dodatku okna pozasłaniane. Czy tu sowy mieszkają?

—Dowcipny z pana malarz. Bardzo dowcipny. Ale to nie sowy panie, tylko wszystko jeszcze po dawnemu zostało. Będzie inaczej, gdy się zrestauruje. Okiennice dawny właściciel pozabijał gwoździemi. Ot, dziwak był, szczególnie dziwak.

—Restauracya takiego budynku będzie wiele kosztowała, co?

—Zapewne, zapewne. Pan hrabia nie pożaluje pieniędzy.

—Pewnie bardzo bogaty, co?

—O! bardzo! bardzo bogaty!

—Francuz?

—Nie, nie. Niemiec, jeden z najbogatszych panów niemieckich.

—Hm! hm!

—Tak, tak. Ale proszę za mną do sali jadalnej.

Pokój, w którym płonęły świece, był zupełnie pusty; teraz weszli do pokoju mniejszego. Była to sypialnia. Stały tam dwa łóżka, nie pościelone, jakby kto świeżo z nich wstał. Okna były zasłonięte storami, ale światło dzienne przedzierało się przez nie cokolwiek i można było widzieć wszystko dosyć dokładnie.

—Aha! pomyślał Fabrequette—tu spał morderca ze swoją ofiarą.

Z pokoju sypialnego weszli do gabinetu. Tu spostrzegł malarz małe łóżko żelazne, również nie pościelone, a przy łóżku ubranie chłopięce.

—Aha! tu spał Szasza—myślał Fabrequette.—Ale cóż u licha, że do tej chwili nikt tu porządku nie zrobił?—zapytywał sam siebie.

Weszli teraz do niewielkiego pokoju, w którym był na środku stół okrągły, około niego kilka krzeseł. Na stole było zużyte nakrycie do śniadania, na trzy osoby, a nawet nie sprzątnięto półmiska i etażerek z potraw i przystawek.

—Tu jadła śniadanie biedna ofiara, tu jadł śniadanie morderca i mały Szasza—pomyślał Fabrequette— a to mi się udało! Jaki to głupiec ów kamerdyner, że mnie tu wprowadził! Naiwna bestya! Ależ są tu wszystkie ślady najwyraźniejsze. Gdy tu policya Szaszę przyprowadzi, chłopiec zaraz pozna swój nocleg, no i po wszystkim. Morderca dostanie się pod gilotynę i ofiara będzie pomszczoną. Wartoby chwycić tego puszczyka kamerdynera za słówko.



Tak się to wszystko przesuwalo Fabrequetowi przez głowę i ożywiło go o bardzo. Z odcieniem obojętności zapytał:

—Więc pan hrabia tu jada, a jeszcze nie sprzątnięte?

—Co? co? Jakże pan możesz przypuszczać, aby taki magnat, jak hrabia, jadał przy tak skromnem nakryciu? No, widać, że pan nie zbliżałeś się nigdy do wielkich panów.

—A któż tu raczył się śniadaniem?

—Kto? służba, oczywiście, że służba.

—Ho! ho! to służba żyje tu bardzo wykwintnie! Pan zapewne jeszcze wspanialej tu żyje? co?

—Jestem marszałkiem dworu, kierownikiem służby, a zawsze w pobliżu mojego pana.

—Czy i w podróży?

—Naturalnie.

—A w Rosyi podobało się panu?

—W Rosyi? Nie byłem tam wcale.

—To hrabia bez pana tam jeździł? co?

—Nie, mój młodziku, Zaczynasz być zanadto ciekawy, a ja nie znoszę aby się lada rzemieślnik poufał ze mną.

—Przepraszam, przepraszam, bardzo przepraszam, panie marszałku dworu. Widzi pan, ja nie ocierałem się nigdy o magnackie domy, więc ciekawość mnie zbiera, gdy się raz przecie dostał do magnackiego przybytku. Więc to jest ta sala jadalna, którą mam przemałować.

—Ależ głupstwo! Jakż można coś podobnego przypuszczać? To przedpokój, w którym tymczasowo jada służba, a do sali jadalnej wejdziemy zaraz.

To rzekłszy, pocisnął kamerdyner guzik w ścianie i rozwarły się małe drzwiczki tapetowe. Za drzwiami było ciemno.

—Proszę wejść—rzekł kamerdyner—to ciemny korytarz, przez który się wchodzi do sali jadalnej. Zaraz panu poświecę. To będzie przebudowane. Teraz niewygodnie, całymi dniami trzeba palić światło. O, lampa tu zgasła. Idź pan, idź—zaraz poświecę.

Fabrequette przestąpił próg, a zaledwie z znalazł się w ciemnym korytarzu, nagle drzwi się za nim zamknęły.

Sądził, że to stało się przypadkiem, że kamerdyner zaraz się zjawi. Upłynęła spora chwila, a drzwiczki się nie otwierają, więc malarz wali w nie pięścią z całej siły, ale nikt się nie odezwał. Szuka sprężyny, zamku, klamki, mace—ani śladu. Bije pięścią, nogami. Drzwi nawet nie drgnęły.

—Cóż u licha? Przecież mnie tu nie zamknął umyślnie! Na toby się przecież nie odważył! Hej! panie marszałku dworu, otwórz pan prędzej i chodź tu ze światłem. Cóż do dyabła? czy pana szlag trafił? co? no gadajże do stu dyabłów. Co? może bestya ogłuchła nagle? Hej! hej! otwieraj!

Tłucze nogami, rękoma w drzwi i cicho, cicho i głucho.

Zaczął się niepokoić. Oko oswoiło się już z ciemnością, więc wyteża wzrok. Coś nie coś światła dochodzi z góry. Rozgląda się. Jest to nie korytarz, ale mały pokoik, rodzaj skrytki, jakie urządzano dawniej w pałacach, aby ukrywać, kogo ukryć się pragnęło, przed pościgiem władzy. W takich skrytkach przebywali właśnie ci, których ścigano za polityczne przestępstwa. Ściany wyłożone deskami, u góry mała szyba z białego szkła, dopuszczająca coś nie coś światła. Fabrequette zaczyna się niepokoić. Czyż go tu do więzienia znęcono?

Rozpatruje się jeszcze. Nigdzie śladu drzwi, okna; żadnego sprzętu. Gdyby chciał się położyć, to chyba na gołej podłodze.

Minęła prawie godzina. Fabrequette zrozumiał wreszcie, że go tu uwięziono. Nie przeraził się, nie rozpaczał, jeno wściekłość go ogarnęła, że się dał podejść, że klęski doznał tam, gdzie pewien był już zwycięstwa.

—Czy z dyablem w zмовie ten puszczyk?—rozmyślał teraz pocziwy łobuz.—Jakim sposobem przewidział, czy przeczuł moje zamiary? Przecież u licha nikt mu powiedzieć nie mógł, że ja tu przyjdę, aby zbadać jaskinię łotrów?! A może to tylko przypadek zrządził, że drzwi się zamknęły i puszczyka istotnie szlag trafił? Co robić? Nie podobna, żeby w Paryżu była taka mordownia ludzi! Ej,



cóżby znowu mógł mieć za powód zamykać mnie tu, skoro nie u mnie nie zabuje. Chyba dla tych kilku franków, które mi dał Daubrac, nie popełniałby na mnie morderstwa. Ale szelma puszczyk!

Gniewa się tak i rozmyśla Fabrequette, gdy nagle rozsuwa się wysoko w ścianie otwór wielkości sporej szyby w oknie. Przez otwór wpada światło.

Fabrequette spojrzął zmieszany w górę ku otworowi a tu ukazuje mu się głowa głuchego staruszka, który jadł obiadł razem z nim i Daubracem. Zdumiał się, osłupiał. Taż sama twarz, broda, też same okulary. Staruszek trzymał w ręce świecznik, o trzech świecach, jakby chciał sam siebie oświetlić i odezwał się szydyczko:

—Podoba ci się tu artysto? co? głuptasiu! Myślałeś, że tu co wyszpiegujesz? Aha! Kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada. Nie poznajesz mnie? co? Jedliśmy obiad razem. Głupi, głupi! Zdawało ci się, że ja głuchy, a ja słyszałem doskonale, słyszałem każde słowo wasze. Wsiadłem prądko do fiakra i popędziłem do domu, aby się przygotować na przyjęcie gładkiego artysty-szpiega. Zdawało ci się chlastaczu, żeś bardzo mądry, przebiegły i ot, siedzisz teraz w łapce, z której wydobyć się nie zdołasz, jeżeli nie będziesz grzeczny i posłuszny.

Fabrequette osłupiał. Ogarniała go złość jeszcze większa. Czemuż był tak nieostrożny? czemu nie cofnął się od bramy, ujrawszy łotrowską twarz kamerdynera. Czuje teraz, że grozi mu zguba. Zabijają go tu, zgładzą. Oczywiście nie wypuszczą już, aby nie naprowadził policyi na tę norę. Ba- rozmaicie bywa. Przecież jest opieka Boża nad ludźmi. Trzeba na razie udawać pokornego.

Takie myśli przelatują mu przez głowę a młoda fantazyja krzepi go, dodaje mu otuchy.

—Ano prawda, że głupiec ze mnie, prawda! Wielki głupiec, że tak samochcąc wlałem w nieszczęście—rzekł Fabrequette.

—Mógłbyś się z niego wydobyć—odpowiedział głuchy towarzysz obiadowy.

—A jakimże sposobem?

—Powiedziałem ci już przecie, że cię wypuszczę, gdy będziesz grzeczny i posłuszny.

—Posłuszny? co? a komu?

—Już cię mnie.

—Cóż mam uczynić?

—Postarać się o to, aby tu Meriadec przyszedł z tym chłopcem, którego zabrał z wieży do siebie.

—Postarać się o to?

—Tak!

—No- w jakiż sposób, skero jestem zamknięty?

—Napiszesz malarzyku list do barona i mnie go wręczysz.

—Jaki list?

—O! cierpliwości mój ty chlastaczk, cierpliwości, zaraz ci podyktuję. Oto napiszesz te słowa: "Panie baronie! Niech pan zaraz zabierze Szaszę i przybędzie na ulicę Marbeuf 197. Udało mi się doskonale dostać do nory. Maluję tu ściany. W całym domu jest tylko stary kamerdyner, głupi jak but. Szasza pewnie pozna ten dom, w którym nocował. To będzie dla nas bardzo ważne odkrycie. Niech pan tu przybędzie pod pozorem zobaczenia się ze mną, celem ugodzenia się o robotę. Górą nasza- Czekam niecierpliwie".—Ot, tylko tyle.

—A gdy ten list napiszę, to co się stanie ze mną?

—Wypuszczę cię zaraz mój paniczku kochany.

—I nie będziesz się pan lękał, że pobiegnę zaraz do policyi z doniesieniem i skargą?

—O! wcale nie, bo zanim cię puszczę, podpiszesz mi taki rewersik. Słuchaj. "Ja Fabrequette, zeznaję niniejszem, że otrzymałem dziesięć tysięcy franków, za usługi oddane hr. Zweimarkowi, że i nadal obowiązuję się spełniać jego rozkazy, a zarazem oświadczam, że hr. Zweimark przyjął mnie na moje własne, gorące prośby, litując się mojej nędzy".

—Tylko tyle? no, to nie wielka rzecz.

—A więc pisz.

—Kiedy ciemno.

—Zaraz ci poświecę i podam papier.



To rzekłszy, zrzucił towarzysz obiadowy perukę, brodę, okulary i Fabrequette ujrzał kamerdynera.

—A! co? dziwisz się? ha? no, no. Skoroś grzeczny i posłuszny dam, ci zaraz światło i papier.

Zasuwa spadła, znowu ciemno, kamerdyner znikł. Fabrequette popadł w jakąś straszną apatyę; ogarnął go bezład, a mimo tego lęk go pożerał. Był jak skazaniec, co widzi śmierć, lęka się jej, a sili się na to, by nią pogardzać. Nie spodli się; nie napisze ani listu takiego, ani takiego rewersu. Raczej zginąć! Za chwilę ężnowu podniosła się zasuwa, a w otworze ukazał się kamerdyner. Na łańcuszku zwisił lampę nad głową malarza, ale tak, że jej malarz dosięgnąć nie mógł; potem podał na taśmie papier i ołówek.

—Piszże prędko chlastaczkę drogi. Pisz—oto papier listowy, a tu arkuszowy na rewers.

—Niechże mi pan pozwoli cokolwiek czasu. Tak mi się ręka trzęsie ze strachu, ze wzruszeń, że nie mógłbym utrzymać pióra. Meriadec nie poznałby sawet mojego pisma. Muszę odpocząć bodaj chwilkę. A tymczasem niech mi pan raczy powiedzieć, panie marszałku dworu, na co też panu potrzeba widzieć się z baronem i owym chłopcem?

—Baronowi chcę wytłómaczyć, że to głupstwo, co robi na spółkę z doktorem, ową panną i z tobą. Czepiliście się człowieka, który wam się wyrządził nic złego. Uroiliście sobie nie bywałe rzeczy, szpiegujecie, zmawiacie się przeciwko niemu. On tego nie lubi i chce wam pokazać, że umie łamać wszystko, co przeciw niemu się zwraca. My was wszystkich dostaniemy w swoje ręce. Wszystkich! rozumiesz malarzyku?

—A tobie co do tego? Czyś ty jego ojcem, czy bratem?

—Tó ja mam za dziesięć tysięcy franków zdradzić przyjaciół i może na śmierć narazić niewinne dziecko?

—Jeżeli ci mało, dam więcej. Możesz dostać nawet piętnaście tysięcy. Hrabia hojny, bogaty, potężny. Pomysł tylko! Dziś jesteś nędzarzem, a możesz za kilkadzie-

siąt wierszy być panem. Jeżeli się nie zgodzisz, to i bez ciebie dokonamy swego.

—Muszę się namyślić.

—He? namyślić? ptaszku nie łudź się, stąd nie wyjdiesz. Szkoda czasu.

—Jakaż mam pewność, że podpisawszy, zostanę wypuszczony?

—Oddasz mi oba pisma w bramie, przy drzwiach uchylonych.

—A, to dobrze. Ale jeszcze mi się ręka trzęsie. Późnie napiszę.

—Słuchaj no ptaszku, nie wódz ty mnie za nos, boś się już przekonał, żeś za głupi, by mnie w pole wywieść.

—Ale nie, nie. Zapewniam. Widzi pan, że jestem posłuszny. Nie piszę, bo naprawdę ręka mi się trzęsie. O! widzi pan.

—A więc namyślaj się do jutra.

—Ej, tak po ciemku?

—W ciemnicy łatwiej myśli skupiać. Słowikom oczy wypalają, żeby piękniej śpiewały.

—Ależ będę głodny!

—Ej, po takim obiedzie, jaki zjadłeś, możesz wytrzymać dzień postu. Jadłeś, aż ci się uszy trzęsły. A pocieszaj się myślą, że dostaniesz piętnaście tysięcy, skoro tylko Meriadec z malcem będą w mojej mocy. Piętnaście tysięcy!

Fabrequette przeciągał tę rozmowę aby odzyskać właściwą sobie energię, zebrać siłę woli. Gdy uczuł się silnym, zrezygnowanym na wszystko, krzyknął:

—Łotrze! Czy myślisz, że dla marnego grosza popełnię zbrodnię? Raczej własne życie poświęcę, niż zdradzę przyjaciela i niewinne dziecko na śmierć narażę! Łotrze, puszczyku przekłety; mnie Bóg ochroni, a ty ze swoim panem staniesz pod szubienicą.—Tchórzu, gadzie podły! ruszaj stąd i nie zatruwaj powietrza piekielnym oddechem. Ruszaj stąd, bo ci łeb rozwalę bodaj pędzlem, co go mam przy sobie.

—Ha! ha! ha- jakiś ty głupi!

—Głupi, ale nie podły!



—A, to bądź zdrów malarzyku. Dobranoc.  
Precz!

—A to giń tu z głodu, skoro ci tak miło. Giń błaz-  
nie!

Zasuwa zapadła. Fabrequette został sam, wśród cie-  
mności i głuchej ciszy.

## VI.

Rozalia Verdier urządziła się prędko w ofiarowanym sobie mieszkaniu i już o piątej wyjechała z Szaszą pod klub. Przez okno karetki spoglądał wciąż malec ku bramie domu, ale daremnie do godziny siódmej czekali, bo ojczym małego Rosyanina nie pojawił się wcale.

Kapitan Saint-Briac poszedł eż do klubu o zwykłej godzinie. Namyślał się długo i walczył z sobą, zanim się na to zdecydował. Spotkać Zweimarka i nie skarcić za list bezimienny, to będzie trudno. Unikać go, nie pokazywać się w klubie, byłoby tchórzostwem.

Rozmyślał, wahał się, wreszcie postanowił pójść, a Zweimarka ignorować.

Zdziwił się wielce, że hrabia tego wieczoru w klubie się nie pokazał. Na sali mówiono, że hr. Zweimark wyprowadził się z hotelu Continental, w którym dotychczas mieszkał, nie pozostawiając tam nowego adresu Saint-Briac. Może uciekł przed pościgiem policyj? Jeżeli takto przecież nie będzie już miał powodu zdradzić tajemnicy i spokoj Odety będzie zapewniony.

Mały Szasza coraz rzewniej wspominał matkę, coraz częściej prosił, aby mu powiedziano, co się z nią stało, aby jej szukano. Był to nie mały kłopot dla barona i Rozalii. Wprawdzie wszyscy byli pewni, że stracona z wieży kobieta była jego matką, jednak nikt nie miał odwagi powiedzieć to chłopcu. Myślano, że im później dowie się prawdy, tem łatwiej ją przeboli, oswojony już wśród obcych, zaprzyjaźniony z nimi.

Nazajutrz rano udała się Rozalia do hotelu Dieu, żeby odwiedzić zwłoki ojca. Szasza domagał się natarczywie,

aby go z sobą wzięła. Polubił Rozalię bardzo; nudziło mu się w domu, pragnął zabawić się ruchem ulicznym wielkiego miasta, a przytem coś go tam ciągnęło. Gdy weszli do szpitala, Rozalia chciała się udać najpierw do doktora Daubraca, i tam chłopca zostawić, aby nie szedł z nią do kościoła. W westybulu spostrzegł Szasza rozwieszose fotografie. Zaczął się im chciwie przypatrywać.

—Czemu tu rozwieszono takie straszne fotografie?

—Są to fotografie osób nieznanych, nagle zmarłych, lub zamordowanych.

—A na co je tu rozwieszono?

—Aby bodaj z fotografii mógł kto poznać osobę zmarłą i podać o niej wiadomość.

—A to tak samo, jak w mordze, gdzie wystawiają zwłoki na widok publiczny?

—Tak; tylko, że w mordze wytawiają zwłoki, a gdy je już pochowają, wtedy umieszczają fotografie w mordze i w szpitalach.

—Boże! moja mama!—krzyknął Szasza i wyciągnął ręce ku fotografii.—Mama moja zabita, strasznie zabita!

Omdlał. Rozalia cuci chłopczykę. Zjawia się traź szpitalna, przybiega doktor Daubrac. Zaniesiono omdlałego do mieszkania doktora.

Gdy Szasza odzyskał przytomność, zawołał:

—Ojczym zabił moją matkę! Dlatego to uciekał przeczennik!  
demną! prawdę mówił Mikołaj Trofimowicz, że tata nikczennik!

Długo trwało, zanim chłopca uspokojono. Błagał, zaklinał, aby go zaprowadzono na grób matki. Daubrac przyrzekł mu uroczyście, że go sam na cmentarz zawiezie.

Gdy Rozalia pomodliła się przy zwłokach ojca, Daubrac odwiózł ją i Szaszę do barona. Smutno było, ponuro. Łzy, żałoba, widmo zbrodni i zbrodniarza. Meriadec zatrzymał doktora na obiad, a wyczekiwał malarza, który wczoraj solennie przyrzekł, iż o trzeciej na obiad się zgłosi. Czekało na malarza z godzinę a gdy nie przychodził, bez niego do stołu zasiadło przyjacielskie grono. Prócz barona, doktora, Rozalii i Szaszy był jeszcze Kosiński. Rozmo-



wa rosyjska z Kosińskim sprawiała Szaszy ogromną przyjemność i działała kojąco na niego.

Nikomu nie wpadło na myśl, że Fabrequette doznał jakiej niemiłej przygody na ulicy Marbeuf, lub może naraził się na jakie niebezpieczeństwo. Żartowano sobie z niego, rozmowa zesłała na weselsze tory, dzięki doktorowi, któremu nie brakło nigdy zapasu humoru i pogodnej myśli.

Saint-Briac wróciwszy z obiadu, położył się na otomanie i rozmyślał o tem, czy też Zweimark opuścił Paryż, czy skarżenie się z baronem i jego przyjaciółmi nie narazi go na jakie nowe przykrości. Myśl kapitana zwracała się wciąż ku Odecie, przy niej krążyła, od niej oderwać się nie mogła. Lękał się o nią, a sobie czynił najdotkliwsze wyrzuty. Ogarniał go też wstyd, że był niewdzięcznym za braterską przyjaźń.

Znużony myślami zaczął drzemać, gdy do drzwi zadzwoniono. Służący zaanonsował przybycie Malverne'a. Zdziwił się kapitan, bo o tej porze Malverne zwykle z biura wracał wprost do domu na obiad. Wybiegł naprzeciw gościa, cokolwiek niespokojny, ale starał się to pokryć udaną wesołością.

—A, co za niespodzianka! O tej porze mezwykłeś nikogo odwiedzać—zawołał Saint-Briac.

—Istotnie—rzekł Malverne spokojnie, ale sucho.—Dziś uczyniłem wyjątek.

—Wdzięczny ci jestem niewymownie, że dla mnie poświęciłeś nawyknięcia i systematyczny rozkład czasu.

—Miałem do tego powód dość ważny.

—Widzę, że jesteś jakiś nie swój. Czy ci się wydarzyło co nie miłego? A może ta sprawa morderstwa na wieży nastęczyła ci wiele pracy i męczenia?

—Do tej chwili jeszcze nie. Dopiero pojutrze staną świadkowie i rzecz się rozpocznie na dobre, zwłaszcza, że policya nagromadziła kilka ciekawych szczegółów, a między innymi także i ten, że owa dama, z którą byłeś na wieży, jest zupełnie zdrowa.

Saint-Briac drgnął. Malverne spostrzegł to, spojrzął na

przyjaciela wzrokiem przeciągłym, rzewnym i rzekł spokojnie:

—Jesteś moim jedynym przyjacielem, którego kocham jak brata, któremu ufam jak bratu, to też przychodzę tu z całym zaufaniem, z wiarą głęboką, że mi powiesz prawdę.

—Ależ oczywiście; czyż możnaby nawet wątpić?—odpowiedział Saint-Briac, wysilając się na to, by ukryć przymasanie i niepokój.

—Czytaj!—rzekł Malverne i wręczył list przyjacielowi.

Saint-Briac rzucił okiem na pismo. Poznał je; było to pismo Zweimarka. Krew mu się ścięła w żyłach, ale opamiętał się, i spokojnie powiedział:

—Któż zważa na listy anonimowe? Tylko podli i nikczemni je pisują.

—Mimo tego treść ich może być prawdziwą.

—Chyba nie przypuścisz, że twoja żona...

—Przypomniała sobie dawne uczucia, co?

—Ależ...

—No, mój drogi, sprawę załatwimy prędko. Daj mi na to słowo honoru, że list ten zawiera kłamstwo. Przeczę cię, przeczytaj go raz jeszcze a głośno.

Saint-Briac skamieniał. Zaprzec, dać fałszywie słowo honoru, nie zdołał, raczej śmierć. Wyznać prawdę, to zgubić Odety. W kilku sekundach przeżył męki straszne. Dla Odety poświęciłby życie, ale honoru poświęcić nie może. Co czynić?

—Czytaj—rzekł Malverne głośno, dobitnie, patrząc bystro na kapitana.

—Zaraz—wyszeptał Saint-Briac.

“Ową damą, która miała schadzkę, na wieży Notre-Dame z kapitanem Saint-Briac, jest pańska żona. Zawiadamiając pana o tem, dodaję, że równocześnie doniosłem policyi, iż kapitana Saint-Briaca niesłusznie aresztowano, gdyż towarzyszka jego wycieczki żyje zdrowa i szczęśliwa, przy boku swego oszukiwanego męża.”

—Czekam twojego słowa—odezwał się Malverne z groźną powagą.

Saint-Briac nie odpowiedział, jeno zdjął ze ściany rewolwer i wręczył go przyjacielowi.



—Ukarz mnie, zabij, ale wierzaj, że Odeta niewinna,

—A! więc takim byłeś przyjacielem?!

—Zabij mnie, rzuć mi w oczy pogardę, ale nie gardź żoną. Przysięgam ci, że między nami nie było nic, ponad to, co łączyć może brata ze siostrą. Nawet pocałunkiem usta nasze się nie złączyły.

—Czyż wtedy dopiero jest zdrada małżeńska i zdrada przyjaciela, gdy już nastąpiło upodlenie, wyuzdanie?

Saint-Briac milczał.

—Dziękuję za szczerść, panie Saint-Briac, dziękuję za to, żeś pan zatrzymał bodaj tę część honoru, którą ci nie dozwoliła dać fałszywego słowa. Pozwolisz pan panie kapitanie, nadam tej sprawie niezwykle obrót. Pojedynku teraz domagać się niemogę, bo obowiązek urzędowy, a więc honorowy, zniewala mnie do ukończenia dochodzeń o morderstwo. Odwlec go muszę i proszę, abyś pan się na to zgodził. Gdy sprawę o morderstwo ukończę i oddam trybunałowi, pozwole sobie zaprosić pana na wieżę Notre-Dame, dla załatwienia tego, co między nami zaszło.

To rzekłszy, skłonił się Malverne zimno i wyszedł. Saint-Briac popadł w prawdziwą rozpacz.

## VII.

Gdy się zawarła zasuwa, Fabrequette popadł w ogromne rozdrażnienie. Bił nogami i pięściami w ściany skrytki; krzyczał, przeklinał, szarpał na sobie odzienie, aż wyczerpany, znużony do upadłego, niemal omdlały, zasnął głęboko. I spał twardo, długo, spokojnie.

Gdy się zbudził, nie wiedział w pierwszej chwili, gdzie jest i co się z nim stało. Ciemno, a więc chyba jeszcze noc, zatem nie ma po co wstawać. Spostrzega, że spał w ubraniu, nie na łóżku. Przypomina mu się wreszcie straszna rzeczywistość. Ale już w rozpacz nie popada. Nasuwało mu się na myśl, że przecież wiedzą przyjaciele o jego wyprawie na ul. Marbeuf, zatem będą go tu szuka-

li. Ba, czy tylko znajdują, w tem sownem gnieździe? Ej, co! raz kozie śmierć, myślał malarz.

Zaczął być głodnym. To mu znowu rozpaczliwe myśli nasunęło. Umrzeć głodową śmiercią, to straszne. Ależ nie podobna, aby się ośmielono popełnić na nim mord taki, w Parżu, pod bokiern władz najwyższych. Ot, dręcą się z nim, chcą na nim wymusić pomoc w pochwyccniu Szaszy. Wreszcie będą musieli go wypuścić. A jeżeli nie wypuszczą? Ej, to przecież i samemu uwolnić się można. Wszakże z poza krat i kamiennych murów dobywają się więźniowie na wolność. A tak, ale nie umorzeni głodem! Zanim głód zajrzy w oczy, trzeba się spieszyć.

Pod natłokiem takich myśli, znowu się uspokoił i zaczął przeszukiwać kieszenie, przypomniawszy sobie, że ma przecież tytoń, zapaliki, scyzoryk i rozmaite rupiecie, któremi zwykle wypychał kieszenie. Dobył tytoniu, nałożył fajkę i zapalił ją za fantazyą.

Sprawiło mu to wielką ulgę, wzmogła się energia, a nawet humor zwolna powracał.

—Czy to noc, czy już dzień? Oho! aniołowie święci ustrzegli mnie, żem wczoraj nie zastawił zegarka! Już go chciałem zanieść do lombardu, a pocziwy doktor zaprosił na dobry obiad, dał kilka franków w łapę i obeszło się. Pocziwy doktoru! Oj! żebyś ty wiedział, co się ze mną dzieje!

Potał zapalke, popatrzył na zegarek.

—Szósta! A czy popołudniu, czy rano? Hm. Chyba, że rano. Wszak z obiadu wyszliśmy po piątej, na Marbuef przy byłem koło szóstej; więc teraz chyba szósta rano. Spałem sobie z jakie dziesięć godzin. Dobry sen, chociaż bez dościeli. Szósta rano! Jeszcze też nigdy tak wcześnie nie wstałem.

Lekkomyślność cpanowała łobuza. Zaczął sobie pogwizdywać wesołą aryjkę.

—Hm! hm! trzeba się też rozpatrzyć w tej bezpłatnej kwaterze.

W rupieciach znalazł kawałek stoczka.

—O! przyjacielu zapomniany, jakżeś miły teraz i przydatny!



Zaświecił stoczek, rozgląda się, oswaja ze światłem, które mu się oślepiającym wydało. Wszędzie pustka, żadnego sprzętu, wilgotne mury. Przypomina sobie, że są przecież drzwi, któremi tu wszedł. Szuka ich, wpatruje się w ściany. Znalazł. Ba! żelazne, kute grubą blachą. żadnej klamki w nich, żadnego nie widać zamku. Jakby wmurowana płyta w kamienną ścianę.

—Cyklopy to budowały, czy złodzieje? Pałac to, czy

kryminał? Nie lada ślusarz to sporządził; a może kowal? No czy tak, czy owak, kowal zawinił, ślusarza powiesili— toć jeżeli kowal zrobił, ślusarza można pochwalić. Aho! coś tu jest, niby głowa od wielkiego gwoźdźcia. Co ona tu robi? po co ją tu umieszczono? Pomacam. Ehe! rusza się! obrać Pod nią otworek, jakby do klucza! Pysznie! Ba! a gdzież klucz? Szkoda, żem łotra puszczyka o klucz nie poprosił. A to niegrzeczny gospodarz że klucza gościowi nie zostawił.

Fabrequette zadumał się nad tą dziurką od klucza. Jak że nie dumać? Można by stworzyć, gdyby był klucz. Już jestem cień jakiejś nadziei uwolnienia się z tej grobowej ciemnicy. Wszakże zamki wytrychami otwierają, a złodziej prawdziwy, to i z gwoźdźcia wytrych robi. Ba! z gwoźdźcia! a gdzież go szukać? Oj źle! Ha! idźmy dalej. Trzeba zwieźć kwatereę dokładnie.

I puścił się łobuz na oględziny. Obszedł wszystkie ściany dokoła, ale nie dopatrzył niczego, prócz onych drzwi. Teraz zapędził się na środek. Przy płomyczku stoczek za ledwie na dwa kroki widział przed sobą. Chodzi, rozgląda się. Wszędzie posadzka kamienna, dość gładka, cho-

ciaż widocznie bardzo stara. Ku samemu środkowi nieco nie równa, cokolwiek wklęśła. Fabrequette spogląda na prawo i na lewo, idzie zwolna, aż tu na prawo dostrzega długą szparę w posadzce; przypatruje się, a to drzwi żelazne w podłodze. Wstąpił na nie, zadudniały. Postąpił dwa kroki i lewą nogą o coś zawadził, aż się potknął i o mało nie wyrócił. Nachyla stoczek, patrzy, a tu pęk kluczy, z których jeden zasadzony w dziurkę owych drzwi, w posadzce tkwiących.

—A to co? Hej! kluczę, dalibóg klucze. A co też tam pod temi drzwiami? Może jakie skarby, przez złodziei ukryte? Gdyby też zajrzeć? Juźcić wilków ani tygrysów tam niema, toć mnie nic nie poźre. A może tam jakie szkielety zgładzonych? Może tu przedemną bywali tacyi głupcy, jak ja, co się dali wciągnąć w matnię i marnie zginęli, a potem ich tu wtrącono, jak do grobu? To cóż? jeżeli tam są zmarli, To mi nie wyrządzą nic złego. W imię ojca i syna i ducha świętego, amen. Wszelki ducha Pana Boga chwali. Spróbować można.

Otwiera, z wysileniem drzwi podnosi i spogląda w dół. Ciemnica bezdenna. Świeci stoczkim, nie widzi nic, prócz drabinki, po której widocznie do lochu się wchodzi. Z lochu Nagle zdało mu się, że słyszy coś niby jęk cichy, niby buchało powietrze wilgotne, piwniczne, stęchłe. Cofnął się. Stękanie, niby ciężki oddech, coś nieokreślonego.

—Duchy! a może sowy? Może szczury? Kto tam? odezwij się. Jeżeli duch zagłodzonego, to dzień dobry biedaku, towarzyszu niedoli. Wkrótce i ja będę takim duchem zagłodzonego; możemy zawczasu zawrzeć znajomość. Co? Ej, nie odpowiada, tylko charczy, czy mruczy.

Z lochu odezwał się głos ludzki.

—Ktoś mówi; wyraźnie mówi. Kto tam? Ba! ledwie go słyhać. Głośniej!

Głos ludzki z widocznem wysileniem coś powiedział, ale Fabrequette nie zrozumiał.

—Po jakiemu mówisz i kto jesteś?

—Rosyanin—odezwał się głos z lochu.

—A czy żywy, czy umarły?

—Żywy.

Głos mówił dalej z wysileniem, ale Fabrequette nie wiele zrozumiał z tego, bo zaledwie co dziesiąte słowo było francuskie.

—Idę do ciebie, nieszczęsna maro rosyjska, tylko jak my się rozmówimy?

Fabrequette wszedł ostrożnie na drabinkę, świecił stoczkim, schodził zwolna, by się rozpatrzeć dokoła, aż stanął na wilgotnej, prawie mokrej podłodze. Był to loch,



mający około 3 metrów kwadratowych, niski, sklepiony, istny grobowiec. W kącie leżał związany człowiek siwy, z długą brodą, wybladły, osłabiony.

—Kto jesteś?—zapytał Fabrequette.

—Mikłaj Trofimowicz.

—Co? stary sługa hrabięgo Konstantynowa, ojca małego Szaszy? Święty Boże! skąd się tu wzięłeś starcze?

—Porwał Prusak, łotr i zamknął, chce mnie zgubić.

—A to i mnie także zamknięto, aby zabić, bo nie chcę im Szaszy wydać.

—Znasz Szaszę? Święty Boże! Gdzie to dziecko?

—Bądź spokojny starcze, ono pod opieką uczciwych ludzi.

—Boga Rodzico Przczysta, dzięki Ci za to.

—Ależ cię to związali. Poczekaj; najpierw musisz wstać. Rozetnę te sznury.

Fabrequette połamał dwa ostrza scyzoryka, zanim zdołała porozcinać grube, twarde postronki kenopne, którymi starcowi powiązano ręce i nogi. Wreszcie dokonał dzieła. Starzec podniósł się, stanął, ale zachwiał się i runął na podłogę.

—Hej, stary, nie róbcie głupstw. Tu niema doktora, ani apteki. Stary! Wstańże przecie. Hej! Szasza was woła, Szasza! słyszycie?

Trofimowicz, rozwarł oczy i zaczął powtarzać: Szasza! Szasza! ale dźwignąć się nie zdołał.

—A do diabła, co ja tu pocznę? Aha! jest, jest coś, co go pokrzepi. Jaki ja mądry, żem kupił absyntu po drodze, gdym szedł do tej jaskini łotrów. O poczciwy doktorze, jakiś ty był mądry, zaś mi dał kilka franków. Wymaluję twój portret i rozstawię twoje imię po świecie, na wszystkich wystawach we wszystkich częściach świata. Hej! stary! napij się, pokrzep! No, otwórzcie gębę. No, przecie! Więcej! łyknij dobrze. Tak. No, widzisz, że to pomaga. Chwała Bogu! dźwiga się, no oprzej się na mnie, a silnie, nie bój się, ja się nie złamię. Tak, jeszcze, jeszcze. No, dobrze! A! już stanął. Oprzej się na mnie, wyciągnę cię po drabinie z tej nory. Chodź, pomału. Dobrze. Stań na

stopniu, ja cię będę podpierał. Trzymaj się drabiny. Wiesz ją? co? świecę ci stoczkiem. Dobrze się trzymaj.

Trofimowicz, jak posłuszne dziecko, spełniał co mu Fabrequette rozkazywał i dostali się wreszcie do kwatery malarza. I tu było ciemno, ale bodaj powietrze było lepsze, nie tak grobowe, nie tak piwniczne, bez stęchlizny podziemia.

Fabrequette zamknął drzwi od lochu klucz wyjął zdjął z siebie surdut, zwinął go, czyniąc zeń poduszkę dla starego.

— Teraz połóżcie się wygodnie, głowę oprzyjcie na poduszce. Odpoczywajcie. Może zaśniecie teraz wygodniej; to was pokrzepi.

Istotnie stary położył się wygodnie i zasnął. Związany, rzucony na wznak, męczył się, a jeżeli spał, to snem raczej dokuczliwym, bolesnym, niż pokrzepiającym. Teraz, uwolniony z więzów, mając pod głową surdut pocziwego malarza, zasnął istotnie snem, pokrzepiającym, zwłaszcza orzeźwiony absyntem.

Fabrequette, wzięwszy klucz, podszedł pod owe drzwi żelazne, w których odkrył zamek i zaczął dobierać klucza do niego. Czynił to cicho, ostrożnie, cierpliwie, aż wreszcie właściwy klucz dobrał. Wykręcił ni mw zamku i drzwi się otwarły. Nadśluł je. Cisza zupełna. Spogląda na zegarek; była już godzina jedynasta.

— Co teraz robić? Czy puszczyk jest w domu czy go nie ma? Hm! możnaby łotra udusić, bo nas dwóch. Ba! ale czy nie ma tu jeszcze innych rzezimieszków w tej jaskini? A stary taki osłabiony, śpi Lepiej zamknę, poczekam aż się wyśpi, snem pokrzepi.

Zamknął, fajeczkę zapalił, stoczek zgasił i mrucał sobie wesoło. Łobuzowi lekkomyślnemu starczyło to wszystko, co odkrył, za pociechę a znalezienie towarzysza napełniało go nawet radością. Ale i wątpliwości nasuwać mu się zaczęły. Otworzył drzwi, to prawda, ale co dalej? dokąd iść? jak uniknąć spotkania? Gdyby tylko sam kamerdyner był w domu, byłoby pół biedy. Obaj z Trofimowiczem daliby mu radę, ale jeżeli są jeszcze inne draby? Ha! co Bóg da!



Rozwahał, myślał, marzył, aż zasnął obok starego towarzysza niedoli.

Śpi zrazu spokojnie, godzinę jedną i drugą, aż zaczyna mu się śnić, że się kąpie w zimnej wodzie, chce wyjść z tej kąpieli, a nie może, bo woda ścina się w lód i chwyta go w lodowe kleszcze. Wysila się we śnie, by się wyrwać z uścisków lodu i budzi się wreszcie ze snu nieміłego. Spał bez surduta, więc było mu zimno i taki sen go trapił.

Zbudziwszy się i ocknąwszy zupełnie, zaczął się trzeć po całym ciele rękami, łyknął absyntu, zaświecił stoczek i patrzy na zegarek. Była już godzina trzecia.

—A to sobie pospał. A co stary robi? Śpi? E, już się dźwignął. No panie Rosyaninie, lepiej już, co?

—No tak, lepiej. Spróbuję wstać i chodzić.

Wstał. Rzeźko stapał. Był to człek rosły, silnie zbudowany. Popatrzawszy teraz na niego, ucieszył się Fabrequette.

—No, ten człowiek i niedźwiedziaby zadusił, a nie dopiero takiego puszczyka, jak ten łotr kamerdyner. Górą nasza.

Nie bardzo mogli zgadać się z malarzem, bo Trofimowicz umiał zaledwie kilkadziesiąt słów francuskich, które go się czepiły wśród wielu lat służby, gdy się francuskiej rozmowie swych państwa przysłuchiwał. Pomagali sobie gestami i zrozumieli o tyle, o ile było potrzeba do wspólnej pracy nad wydobyciem się z tej śmiertelnej niewoli. To też Fabrequette nie mógł się dowiedzieć, po co Mikołaj przybył do Paryża, a jedynie to wyrozumiał, że biedny starzec przez półtora dnia leżał w lochu skrzepowany.

Widząc, że starzec odzyskał siły, tłumaczył mu jak mógł, w jaki sposób ma pomagać w dalszej pracy nad ucieczką z tego więzienia. Mikołaj pojmował i ujrawszy te silne sznury, którymi był skrzepowany, groził nimi wrogom, robił z nich pętlę i okazywał, że chciałby ich powiesić. Aż się rześmiał przytem radośnie. Fabrequette pozwijał owe sznury, powiązał w silne węzły i opasał się nimi, jak strażnik pożarny. Potem cicho skradali się ku drzwiom. Malarz włożył klucz, otworzył, wychylił głowę.

Olśniła go smuga światła dziennego, acz mroczna. Obaj stanęli przy drzwiach uchylonych, aby się oswoić ze światłem, potem Fabrequette wysunął się na palcach w ów mroczny korytarzyk, przez który go kamerdyner do ciemnicy zwabiał. Cisza była wszędzie. Idą na palcach, jeden za drugim, zdjawszy obuwie. Na końcu korytarzyka były jakieś schodki, na dół wiodące, a na samym dole drzwi, dotykające jakiegoś dziedzińca, bo przez szybkę okratowaną dochodziło światło słoneczne.

Już mieli wstąpić na schody, gdy usłyszeli rozmowę. Fabrequette natężył słuch i wzrok. Dostrzegł drzwi też same, przez które go tu kamerdyner z jadalnego pokoju prowadził.

—A więc rozmawiają! Aha! głos puszczyka. Co? mówią po niemiecku. O święci patronowie malarstwa i malarzy, dzięki wam, żeście mi pozwolili dwa lata przebywać na studiach w Monachium. Nie marzyłem nawet o tem, że mi się to na co przyda, iż się tam po niemiecku nauczyłem. Co to? Święty Boże! Straszne rzeczy!

I słucha malarz z natężeniem największym. A było czego słuchać!

—To było niepotrzebne—mówił kamerdyner. Sędzia nie zastrzeli kapitana, tylko wyzwie go na pojedynek, a w pojedynku zwycięży prawdopodobnie kapitan. Oczywiście będzie szukał zemsty i może ci wściekle dokuczyć, zanim wyjedziemy, a może nawet nas wszystkich zgubić.

—Słuchaj Fryc. Jesteś niby mądry, a głupstwa pleciesz. Cóż mi Saint-Briac może zrobić? Nic. Zwłaszcza teraz będzie do niczego, bo złamany niepokojem o los swej ukochanej. Mnie zależało na tem, aby to śledztwo wstrzymać bodaj na jedną dobę. Malverne, otrzymawszy list, nie będzie miał humoru do przesłuchiwania świadków bodaj o jeden dzień, a tego nam trzeba. Najważniejszym świadkiem byłby tu ten chory pies Trofimowicz, ale on już chyba nie zobaczy światła dziennego. Poza tem największe niebezpieczeństwo, to Szasza. To szczenię rosyjskie trzeba czempredzej usunąć, a na to trzeba mi czasu do jutra.

—Czy Hans ma głowę na karku?



—Jak my obaj.

—Czy już przygotował wszystko?

—Doskonale mu się udało. Gospodyni barona zamówiła jarzyny na szóstą. Hans udał handlarza jarzyn i poszedł do niej z doniesieniem, że tamten handlarz nie może przyjechać i jego prosił, aby go wyręczył, ale on tylko o trzeciej przyjechać może, bo później ma czas zajęty.

—Zgodziła się na to?

—Zgodziła się, boć jej to wszystko jedno. Hans zanieśie trzy paki z jarzynami i gdy gospodyni będzie je odbierała, ty rozprawisz się z Szaszą. Nożem w pierś, a prosto w serce, aby nie jęknął, potem we worek i do pustej paki z jarzyn.

—Możeby zostawić to szczenię zakłute?

—Co też pleciesz? Zostawimy zakłute, toć nowy gwałt, zamęt, nowe podejrzenia. Jawne morderstwo. Gdy je zabierzemy, mogą myśleć, że znikł, że go kto porwał. Ale kluj tak, żeby krew nie została na miejscu. Chwyć za gardło, zduś, głowę zatkać szmatą, potem na kawał grubego koca; nóż w pierś i prędko z kocem do worka i do paki.

—O mnie bądź spokojny, to dla mnie nie nowina, byle Hans się dobrze sprawił.

—Czy tylko oni pójdą? co?

—Ale tak, tak. Bądź spokojny. Doktor zakochany w tej dzierlatce z wieży, więc z miłości dla niej, pójdzie na pogrzeb. Baron z przyjaźni dla doktora, no i z grzeczności dla dzierlatki, która teraz u niego mieszka. Ułożyli tak, że Szasza zostanie pod opieką gospodyni i to w jej mieszkaniu, aby mu się nie nudziło i był bezpieczniejszy. Na pogrzeb go nie biorą, bo chłopak aż się rozchorował, gdy go na grób matki zawieziono.

—A Saint-Briac?

—Nie wychodzi z domu. Porządkuje papiery, przygotowuje się do pojedynku, z nikim widzieć się nie chce.

—Zrobimy dobry interes. Namówiłem tę głupią gęś rosyjską, aby sprzedała Werię. Usłuchała mnie i przywiozła do Paryża blisko milion rubli w banknotach. Chciała

je tu w banku deponować, na imię Szaszy. Uparła się przy tem. No, jakże miałem zrobić? co? Poszła z wieży na bruk, skoro nie chciała dobrowolnie powierzyć mi pieniędzy. To szczenię chciałem także wyrzucić, ale mi przeszkodził właśnie Saint-Briac swoją schadzką. Teraz już nie będziemy potrzebowali hazardować za zielonym stolikiem, ani w kuźni, Ale, ale, czy jest jeszcze co do zmiany u Fryca?

—Jeszcze się z tysiąca franków nie wyrachował. Powiada, że jeszcze nie zmienił.

—Co zrobisz z tym czyżem, coś go złapał?

—Z malarzem?

—A, tak.

—A niech sobie siedzi. Nie wydostanie się z klatki, żeby pękł. Zdechnie z głodu tak, jak ten pies rosyjski Trofimowicz.

—Damy im jeszcze pakę ze szczeniakiem.

—Wszystkich razem do lochu. Teraz jeszcze do malarza nie pójde; niech się przegłodzi i osłabnie. Jutro zo zepchnę do lochu, wraz z paką ze szczeniakiem. Nim kto ich znajdzie, będziemy dawno za morzem.

—Jak wszystko będzie gotowe, Hans zostanie i dom sprzedą. O nim nikt tu nic nie wie. Mają go tu za uczciwego filistra. A szelma mówi po francusku, jak urodzony mieszczuch paryski.

—Jutro o tym czasie będzie po wszystkim.

—No, teraz chodźmy. Pilnujże tych waryatów na ulicy Cassette i Hansa, a ja do klubu. Do ostatniej chwili muszę usuwać od siebie podejrzenia. Dziś będę przegrywał.

—No, możemy sobie zaśpiewać:

“Lieb Vaterland, kannst ruhig sein,  
Fest steht und treu die Wacht am Rhein”.

—Mamy w lochu słowiańską świnię i francuskiego indora. Hurra!

Rozmowa ucichła. Słychać było łoskot drzwi zamykanych, a wnet potem zatrzaśnięcie bramy. Fabrequette zdrętwiał. Doznał takiego rozdrażnienia nerwowego, jakby go najgwałtowniejsza ogarnęła febra. Trofimowicz, który nic z rozmowy nie rozumiał, instynktowo odczuwał coś groźnego, bo poznał głos ojczyrna Szaszy.



Kilkaście minut upłynęło, zanim Fabrequette opanować się zdołał. Dobył flaszki z absyntem, pociągnął łyk spory, dał Trofimowiczowi, potem wyprostował się, zaciśnął pięście i syknął:

—Biada wam łotry. Ocalić dziecko, a ich na szubienicę.

Ujął Trofimowicza za ramię i rzekł:

—Chcą zabić Szaszę; rozumiesz? Szaszę chcą zabić, jutro.

Trofimowicz zrozumiał.

—Panno najświętsza! Boże wielki!—i lzy mu pepłyneły strugą.

—Słuchaj stary, rób co ci powiem. Bóg pomoże, ocalimy dziecko. Chodź za mną.

Zeszli po schodach ku drzwiom żelaznym od jakiegoś podwórka. Ciężkie były, okute silnymi sztabami, zasunięte ciężkimi zasuwami. Fabrequette daremnie się wysilał, żeby je odsunąć, ale Trofimowicz odsunął je łatwo.

—Ty stary zdusiłbyś niedźwiedzia.

—Co?

Malarz pokazał mu na migi.

Rozwarli drzwi z wysileniem, ciężkie, zardzewiałe. Za drzwiami małe podwórko i kawał muru. Fabrequette roześmiał się z radości. Słyszał wyraźnie gwar miejski zdala, więc mur do ulicy przytyka. Zdjął sznur, którym był obwinięty, przywiązał na końcu ciężki pędzel, który miał z sobą i pędzlem rzucił w górę, aby sznur o dachówki muru zaczepić. Pociągnął. Sznur spadł i ściągnął kawał dachówki.

—Tak się nie uda. Stań stary pod murem. Tak. Dobrze.

Malarz wydrapał się Trofimowiczowi na ramiona i stanąwszy na nich, sięgał głową do szczytu muru. Ulica! ulica! Co za radość! Zeskoczył. Zawarł drzwi. Dobierał klucza i dobrał szczęśliwie.

—Może przecież nie będą jutro oglądali, czy zasuwę zasunięte. Ej, nie będą mieli na to czasu, ani głowy, myśląc o mordzie i ucieczce. Teraz przez mur. Stawaj stary pod murem. Tak. Trzymaj się dobrze.

Stanął na ramionach Trofimowicza, zaczepił sznur silnie o dachówki, mur pokrywające, ujął się dachówek i stanął na murze, sznur podał Trofimowiczowi.

—Trzymaj się mocno, opieraj nogami na węzłach. Dobrze. Dawaj ręce. Już. Siadaj na murze, odpocznij. Teraz ze suwaj się po węzłach i stań pod murem. Dobrze. Chwała Bogu. Uważaj, ja ci skoczę na ramiona. Doskonale, udało się. Stanęli obaj za murem, na ulicy.

Na ulicy pusto. Była to wąska przecznica, którą nikt nie chodził. Fabrequette podskoczył z radości, Trofimowicz doznał osłabienia z wrażeń i głodu, ale krzepił się jak mógł. Odczepili sznur z muru i mieli już odejść, gdy dwóch żołnierzy policyjnych przyskoczyło do nich.

—A ptaszki; w biały dzień kradniecie. Na strażnice.

—Proszę przywoicie; nie jesteśmy złodziejami. Jestem Fabrequette, artysta-malarz—a to mój przyjaciel, Rosyanin. Byliśmy w jaskini łotrów.

—Szkoda czasu. Prędeż z nami.

—Owszem, owszem. Będę bardzo szczęśliwy, gdy się spotkam z panemprezydentem policyi, bo dowie się odmnie ciekawych rzeczy. Nas uczciwych ludzi policya aresztuje, a tu pozwala gnieździć się łotrom w tym domu. Tu jaskinia mordów.

—O tem potem. Naprzód!

—Dobrze, dobrze. Byliście panowie dali nam dobrą kolację, bo ja od wczorajszego obiadu nie jadłem nic, a mój przyjaciel podobno od czterdziestu ośmiu godzin.

Fabrequette wołał policyę, areszt chwilowy, niż śmierć głodową, a i Trofimowicz nabrał ducha. Ale zaczęła ich nękać obawa, czy zdołają przekonać policyę o zamierzonym zamachu, czy znajdą wiarę. A nuż sprawa się przeciągnie i tymczasem Szasza padnie ofiarą?

### VIII.

Gdy druga noc minęła, a Fabrequette nie wracał do domu, Kosiński niepokoił się niezmiernie i szukał przyjaciela po całym Paryżu.

Kosiński był pełnym poezyi; spokojny, cichy, nieco zagłębiony w sobie; zawsze poważny i rozważny, szczerzy i serdeczny w przyjaźni. Utalentowany bardzo, należał do naj-



wybitniejszych między tymi, co przybyli z różnych krain Europy do Paryża, aby uzupełnić wykształcenie studjami bogatych zbiorów i galeryi. I ten prawdziwy artysta, ten bardzo stateczny i głęboko wykształcony człowiek, upodobał sobie łobuza, polubił go i był mu wiernym przyjacielem. Szczerłość, uczciwość Fabrequetta pociągały go, wesołość ożywiała.

Nie znalazłszy ani śladu roztrzeпаńca wśród kolonii malarzkiej, nie spotkawszy go nigdzie w knajpkach cyganeryi artystycznej, szukał go w domu barona, u doktora, a gdy i tu o nim nic nie wiedziano, prócz tego, że się miał udać na ulicę Marbeuf, Kosiński postanowił poradzić się z baronem i doktorem, co czynić, aby malarza wyszukać. Poszedł ponownie na ulicę Cassette, zjadłszy obiad, ale barona już nie zastał. Było już około godziny trzeciej, baron wyszedł przed kwadransem, na pogrzeb dzwonnika.

Gdy Szaszę ujrzał Kosiński, ucieszył się niezmiernie i rzucił mu się na szyję.

—Niech pan zostanie u nas. Ja sam jestem z gospodynią. Wszyscy poszli, mnie wziąć na pogrzeb nie chcieli. Zostań pan ze mną. Byłem wczoraj na cmentarzu, na grobie mamy. Pan wie, zamordowana. Moja mama nie żyje! Panie, ja już nie mam ani ojca, ani matki....

Zapłakał chłopaczek i łkał rzewnie. Kosiński przytulił go do piersi, uściśnął serdecznie i rzekł łagodnie:

—I ja jestem sierotą.

—Czy panu także zamordował kto rodziców?

—Ojca mi zabito, a matka z żalu umarła.

—A kto zabił ojca?

—Zginął na wojnie.

Ciekawy Szasza zasypywał Kosińskiego pytaniami i słuchał z wielkiem zajęciem opowiadań malarza, aż znudzony wrażeniami, których od tyłu dni doznawał i nieprzespaną nocą po odwiedzeniu grobu matki, zasnął spokojnie. Kosiński wyszedł do drugiego pokoju, zapalił cygaro i czekając na barona, puścił wodze myślom, wspomnieniom, przyczem spoglądał przez otwarte drzwi na śpiącego chłopca. Sierota pokochał sierotę.

Rozmyślania przerwało mu wejście gospodyni.

—Jak to dobrze, że pan przyszedł. Chłopczyna nudził się ze mną, chociaż zabawiałam, go, jak mogłam. Przyjechał wóz z jarzynami, muszę je odebrać i umieścić w piwnicy; niech pan zostanie, dopóki nie wrócę.

—Ależ najchętniej; wszakże muszę czekać powrotu barona.

W chwilę po wyjściu gospodyni, usłyszał Kosiński, że drzwi pierwszego pokoju, w którym spał Szasza, ktoś ostrożnie otworzył i wszedł cicho, jakby się skradał. Zerwał się i spieszy zobaczyć, co to być może, gdy jakiś człek rzuca się z kocią zręcznością ku Szaszy i mierzy sztyletem w pierś dziecka. Już sztylet spadał na śpiącego, gdy Kosiński pochwylił rękę mordercy.

Napastnik wyrwał się malarzowi wysilonym ruchem i z błyskawiczną szybkością zadał mu cios sztyletem w piersi. Kosiński zachwiał się, ale nie upadł; sztylet trafił przypadkowo na duży medalion z Matką Boską Częstochowską, który malarz nosił na piersi, zawieszony mu niegdyś przez matkę. Napastnik ponownie rzucił się na Szaszę, a Kosiński, wyprostowawszy się, obiema rękami ujął zbrodniarza, odepchnął go od dziecka i usiłował wyrwać mu sztylet. Zaczęło się mcowanie. Kosiński młody i silny, ale przeciwnik zręczniejszy, wprawniejszy zaczyna brać przewagę; wyrwa się malarzowi i uderza silnie sztyletem w piersi. Kosiński runął na podłogę, krew z piersi jego sączyć się zaczęła.

## IX.

Fabrequette domagał się natarczywie, aby go natychmiast zaprowadzono do sędziego śledczego Malverne'a. W komisaryacie uważano to za wykret złodziejski. Nie pomogły zapewnienia, że tu waży się życie ludzkie, że odkrył straszną zbrodnię. Komisarz dyżurny postanowił odroczyć sprawę do dnia następnego, bo godziny urzędowe minęły i późny wieczór zapadał.



Obaj z Trofimowiczem spędzili noc w areszcie policyjnym. Mimo niepokoju o los Szaszy, mimo silnych wrażeń usnęli twardo, posileni pożywieniem więziennem, mając jakże takie posłanie, wygodniejsze od gołych desek podłogi w ulicy Marbeuf.

Nazajutrz rano, skoro tylko Fabrequette oczy otworzył zaczął domagać się, aby go czempędzej zaprowadzono do prefekta policyi i do sędziego Malverne'a, ale dozorca więzienia zbywał go szyderskim uśmiechem, mówiąc:

—Znamy już takie bajki. Ho, ho, słyszało się jeszcze lepsze. Te bajeczki sprawy nie przyspieszą. Nadejdzie godzina urzędowa i wtedy pójdziecie do protokołu obydwaj; ani minuty wcześniej, ani minuty później.

Nareszcie około dziewiątej wezwano obu do biura komisarza policyjnego, który urzędował w oddziale "złodziejskim". Spisywanie protokołu z Fabrequette potrwało z godzinę, a gdy kolej przyszła na Trofimowicza, pokazało się, że bez tłumacza rosyjskiego, wysłuchać go nie można. Zanim tłumacza wyszukano, zanim przybył, upłynęło dwie godziny. Fabrequette i Trofimowicz wpadli w rozpacz; malarz tak był rozdrażniony, że już nie mógł panować nad sobą i krzyczał, bił nogami o drzwi, łamał sprzęty, przeklinał policyę. Zdawało się, że oszaleje.

Gdy wreszcie tłumacz się zjawił, wezwano koło południa Trofimowicza do przesłuchania. Spokojna postawa Rosyanina, twarz tryskająca uczciwą szczerością, głos jasny, czysty, dźwięczny, mimo siwego włosa na głowie starca, wywierały wrażenie ujmujące, budziło zaufanie do człowieka, którego o złodziejskie praktyki podejrzewano.

Trofimowicz był zrazu zakłopotany, widząc, że go tylko jeden człowiek rozumie. Nasunęło mu się podejrzenie, że może błędnie, lub niedokładnie przetłumaczy jego zeznania, zaczął więc z tłumaczem rozmawiać po rosyjsku i uspokoił się dopiero, gdy poznał, że tłumacz jest rodowitym Rosyaninem. Przytem poważny wiek tłumacza i uczciwy wyraz twarzy, uspokoiły go do reszty.

Zadawane przez komisarza pytania, bałamucily wprost starego; lakonicznie, protokolarnie nie zdołał się wyrażać.



Dopiero gdy tłumacz poprosił, aby dano zupełną starcowi swobodę, rozgadał się na dobre, ożywiając się coraz bardziej.

—Toć ja wypiaستowałem hrabiego Pawła Mikołajewicza Konstantynowa. Za starego pana wzięli mnie do służby, do kredensu, a miałem wtedy ze dwadzieścia lat. Tak, ze dwadzieścia mi było. kilka lat potem, urodził się mały hrabia Paweł Mikołajewicz. Przy mnie rósł. Piękny był, a dobry. Ledwie to podrosło, już go pełno było wszędzie i w pałacu i w ogrodzie i w stajni. A wszyscy kochali panicza, bo dla każdego coś wyprosił, każdemu dał bodaj dobre słowo, jak nie miał co innego. No, tak ja zostałem za kilka lat lokajem i miałem służbę przy paniczku. Ot, to służba, aż się dusza radowała. Panicz nigdy nie grymasił, dobre mu było wszystko, byle tylko opowiadać mu to i owo, jak to po wsiach ludzie prawią. Tak stary pan widzi, że panicz mnie lubi, to i każe mi zabawiać go. Był gubernier do nauki, a ja do zabawy.

—Pan komisarz prosi, abyście nie mówili tak dużo o tem, co do sprawy nie należy—rzekł tłumacz.

—To i dobrze. No, to ja zaraz powiem co innego. Jakże to było? Aha! No tak. Panicz wyrósł, a piękny był, a dzielny. Ho- ho! Nawet w gwardyi niema takich sokołów, jak był mój panicz. No i skoro już miał dwadzieścia kilka lat i z wojska już wrócił, tak stary pan ożenił panicza, a sam niedługo potem umarł i starsza pani umarła i we Weryi został sam mój panicz z młodą żoną. Ej, piękna ona była, piękna. Z rodu hrabianka Xenia Aleksandrowna Orłowa. Piękna była, ale słabego serca. Ot, na prawo, na lewo okiem. Na wsi jej się nudziło, to do miasta, do Petersburga jej pilno, a do Paryża, a do różnych kąpiel w niemieckich krajach. Panicz ją kochał, no i pozwalał robić, co chciała. Smutno było paniczowi, bo już z dziesięć lat minęło, a może i więcej, a dziecka doczekać się nie mógł. Raz się urodził chłopiec, ale umarł; potem dziewczyna, ale i ta zaraz umarła. Potem pani chorowała, no i tak pusto było, ta i smutno w pałacu. Aż nareszcie dał Bóg Szaszę i Szasza się chował pięknie i zdrowo. Co za radość była!



A Szasza całkowicie do panicza podobny. Dobry, mądry, a i hardy, jak panicz. Oj! Matko Przczysta, ja tu wam opowiadam, a Szaszę chcą zabić. Możeby dać mu teraz ratunek? Ja opowiem potem, a teraz puście mnie do Szaszy, zaprowadźcie; ja mu nie dam nic złego zrobić.

—Bądźcie spokojni; Szaszy nie stanie się nic złego; jeszcze czas; wszystko będzie dobrze. Mówcie, a prędko—uspokajał tłumacz.

—Oj Szasza, mój gołąbek kochany- A co ja to mówił? Aha- Szasza już miał ze sześć lat, tak hrabina, jego matka, znowu do Petersburga ciągnie. Ta i pojechali na całą zimę i bawili się, a hrabina po swojemu, na prawo i na lewo. Niby nie była nieuczciwą, broń Boże; to się tam nie pokazało nigdy, ale tak lubiła podobać się i wdzięczyc do każdego. No i stało się nieszczęście. Mój panicz pokłócił się z księciem Dymidowem o żonę, tak i pojedynek i panicza księżę zastrzelił w pojedynku. Tak marnie zginął mój panicz, marnie przez babską zalotność. Napłakał ja się, napłakał dość! O! niema już mego panicza, tylko biedny Szasza sierota, gołąbek. No i pani hrabina wróciła do Weryi i rok siedziała na wsi i modliła się i żalobę nosiła. Do bra była, uczciwa, tylko, że tak już z natury zalotna.

Ażci w półtora roku po śmierci panicza nie mogła już wytrzymać, ta i zagranicę, do niemieckich kąpieli wybrała się ze Szaszą i mnie wzięła z sobą. Daleki świat z Weryi. No i tam zaczął jej zachodzić drogę piękny, postawny pan i poznał się z nią, no i tak jakoś czar na nią rzucił, że wnet wyszła za niego za męża. Co też to się we Weryi teraz działo! Mocny Boże! Ten nowy pan, to prosty Niemiec, a bestya zła, dokuczliwa, przewrotna. Naprowadził służbę niemiecką, naszymi gardził ludzi naszych poniewierał! Mnie strasznie niecierpiał, bom mu w palce patrzył Wywnioskowałem ja zaraz, że to jakiś oszust, a nie pan. Wciąż wyjeżdżał w świat, wciąż odbierał listy niemieckie, wciąż przyjeżdżali do niego Niemcy. Wszystko to po szachrajsku wyglądało.

—A co miałem mówić? To i komu? Pani hrabina przepadała za nim, ślepa była na wszystko, to co było robić? Tak ja i nie mówił nic, cicho siedział, ale mi dziwne było,

że ten Prusak nie siedzi, nie gospodaruje, tylko wyjeżdża wciąż, a niekiedy, to i pół roku nie było go w domu. Pani hrabina, często bywała, płacze a płacze, a kryje się z płaczem przed ludźmi. Tak ja raz zaczął o tem z panią hrabiną, że nie ma co płakać, skoro on o panią hrabinę nie dba. A pani hrabina na to, że jemu się tu nudzi u nas w Rosyi, że tu świat dziki, że on do piękniejszego świata przywykł. A ot i jakoś zebrało się pani hrabinie na gadanie ze mną i rzekła, że Weryę sprzeda i wybierze się za nowym mężem do jego kraju. Struchlałem, do nóg padłem i całowałem po nogach, by świętej ziemi nie sprzedawała, bo to spuścizna pięciu pokoleń! hrabiów Konstantynowów. Ale gdzie tam panie! Jak się baba uprze, to nie poradzić. Szafranu nie przetrze, a baby nie przeprze. Ot—i nieszczęście! Sprzedała pani, sprzedała Weryę. Jego nie było z pół roku w domu, tylko listy przychodziły od niego, a w owych listach wciąż się dopominał, aby sprzedała dziedzictwo i do niego pojechała, to i posłuchała. Aj! posłuchała nieboga! Nas, starą służbę odprawiono. No, poczciwa była to też nie wyrządziła krzywdy nikomu. Ja dostał kilkaset rubli na rękę; inni też dostali, co im się należało. Ano, jak sprzedała Weryę, tak zabrała Szaszę i pojechała do Paryża. Płakał ja, płakał, za moim Szaszą i spać nie mógł i nie jadł. W Bogu rada na wszystko, tak ja do cerkwi i świec zapaliłem świętemu patronowi kilka i modłę się, a modłę. Przyszedł ja do domu i zasnął, aż tu śni mi się Przczysta Dziewica i pokazuje wielkie miasto, niby Paryż i palcem pokazuje, jakby mi tu jechać kazała. Zbudził ja się i modłę się, a modłę, a wciąż mi w oczach Bogarodzica i Paryż. Tak ja się zebrał, wziął moje kilkaset rubli, no i pojechał. Kamerdyner starego pana bywał tu w Paryżu; ja od niego jeszcze za dawniejszych lat nasłuchał się o tem mieście. No to i po francusku coś tam złapałem nie jedno, bom się francuskiej mowy nasłuchał od państwa. Jadę, a myślę sobie, co ja pocznę, gdzie ja będzie szukał mej pani i Szaszy? Ano, myślę sobie, w Petersburgu jest naczałstwo policyjne, co wie o każdym, kto do miasta przyjedzie, to i w Paryżu tak być musi. Poszukam po icy i dowiem się. Ot i przyjechałem do Paryża. Wysiadam z kolei, a tu Prusak, mąż mej pani,



czeka na mnie. Poklepał mnie po ramieniu uśmiechnął się do i rzecze, że przyszedł po mnie, abym się nie zgubił w mieście. Naszą mową przemówił, bo się trochę nauczył po rosyjsku. Tak ja oczy wytrzeszczył i dziwuje się, skąd on wiedział, że ja przyjadę. A on mi powiada, że Lorenz mu telegrafował, bo się bał o mnie, aby mi się co złego nie stało. Ten Lorenz, to Prusak, ulubiony służący jego. Został w Weryi i miał za kilka dni wyjechać, a mnie namawiał, abym na niego poczekał. Ale mnie było pilno. Pomyślałem sobie, że to może i jaka zdrada, bo owemu Lorenzowi zawsze źle z oczu patrzyło. Chytry był, jak każdy Prusak. No, ale cóżby mi tu złego zrobili? Tak i zabrał mnie mąż pani hrabiny i jedziemy fiakrem. Tak my i przyjechali do jakiegoś brzydkiego domu. Kazał mi iść za sobą i powiada, że mnie do pani zaprowadzi. A to już było późnym wieczorem, to i ciemno było. Jakiś służący się zjawił i świecił. Idziemy po schodach, wchodzimy do pokoju, potem do drugiego i jeszcze dalej, aż otwarli drzwi do jakiejś pustki. Ja się chcę cofnąć, bo mi strach było, aż on mnie palnął, a tamten zarzucił mi prędko sznur na nogi, zem się przewrócił. Zatkali mi głowę, skrępowali i ręce i nogi i wrzucili do ciemnego dołu, niby do piwnicy, gdzie leżał i myślał, że już życie marnie skończy, aż oto ten uczciwy Francuz mnie wybawił.

Oslabł Trofimowicz ze znużenia i wrażeń, które w nim teraz odżyły. Pokrzepiono go koniakiem, podano krzesło, aby spoczął.

Komisarz nie miał już żadnych wątpliwości. Przyprawdzono i Fabrequetta.

—Rzecz wyjaśniona. Panowie zostaliście uwolnieni, a nie wątpię, że pan prefekt i trybunał sądowy wyrazi panom wdzięczność za ułatwienie wykrycia zbrodniarzy i da panom wszelkie zadosyćuczynienie za doznaną przykrość.

To powiedziawszy, wyprawił komisarz relację do prefekta policyi i do sędziego Malverna. Zanim przybył sędzia, zanim prefekt wydał rozkaz, dania asystencyi policyjnej, do pochwycenia zbrodniarzy, dochodziła już godzina trzecia. Z największym pośpiechem udano się fiakrem, przez różne ulice, aby nie spłoszyć zbrodniarzy i wreszcie wyprawa dotarła przed dom barona.

Fabrequette z Trofimowiczem popędzili przodem i wpadli do pokoju Szaszy.

\* \* \*

Morderca powaliwszy Kosińskiego, wyrwał sztylet z jego piersi i wznosił rękę w górę, aby zabić Szaszę, gdy pochwyliły go silne dłonie Trofimowicza. Wyrwał się, szarpał, ale wyrwać nie zdołał. Aż kości w nim trzeszczały, tak go pochwylił Trofimowicz.

—A, mości Fryc, panie marszałku, kamerdynerze, łotrze! jak się masz? co?—krzyknął Fabrequette.

Szasza, zbudzony krzykiem, zerwał się i w pierwszej chwili przeraził, dojrawszy najpierw mordercę ze sztyletem, ciekącym krwią. Po za plecyma mordercy zobaczył starego sługę.

—Mikołaj Trofimowicz!—krzyknął i skoczył, by mu się rzucić na szyję.

—Cicho, cicho, gołąbku, paniczu. A ot, zmów pacierz, pomódl się do Przczystej Dziewicy, że cię ocaliła.

—Hej, to ten, co nam usługiwał przy stole, gdyśmy tu z mamą przyjechali. A gdzie pan Kosiński? On tu był wciąż ze mną.

Kamerdyner wytrzeszczył oczy, osłupiał, wargi mu się zatrzęsły. Trofimowicz go nie puszczał. Fabrequette zobaczył leżącego Kosińskiego.

—Boże! ratunku! łotrze! zabiłeś mi przyjaciela. Poczciwy Polak, czuwał przy dziecku, swoją piersią zasłaniał!

W tej chwili weszli Malverne, agenci policyjni i straż. Kamerdynerowi odebrano zakrwawiony sztylet, wzięto go pod straż. Posłano natychmiast po lekarza, który zajął się Kosińskim.

—Będzie ocalony—rzekł lekarz.

Ułożono rannego na łóżku w przyległym pokoju, a Szasza tulił się do Trofimowicza, to znowu patrzył w bladą twarz rannego, aż ukląkł w kącie, zalał się łzami i modlił się gorąco.

Prócz kamerdynera ujęła straż i owego Hansa, co jarzynieciarza udawał i obu zbrodniarzy odwieziono pod silnym kon-



wojem do więzienia. Malverne pozostał, aby zbadać jeszcze niektóre szczegóły i doczekać się powrotu barona.

Modlitwa uspokoiła Szaszę; wstał, ucałował ręce Kosińskiego i zarzuciwszy ramiona na szyję Trofilmowicza, posadził go przy sobie, patrzył w niego i opowiadać sobie kazał wszystko i sam mu opowiadał, czego doznał.

## X.

żałobny śpiew księży, cichy pacierz pogrzebowego orszaku, dudnienie grud ziemi o wieku trumny, łkanie sieroce, łza przyjaciela, ot—cały epilog życia na ziemi. A tam, gdzieś w przestworzach, w słonecznych blaskach boskiego majestatu, ma zaczynać się nowe, lepsze, trwalsze, bo wieczyste. Wiara w nie, to może najwyższe szczęście człowieka.

Umarło jedno, drugie, trzecie dziecko, matka i ojciec szarpali się bólem, oblali krwawymi łzami trumienki; pustka w domu straszna, z każdego kąta wyziera żal i nie życia biednych rodziców nie rozjaśnia. Możeby zacisnęli pięści i grozili Bogu, możeby rozłukli głowy o te ściany, o które odbijał się echem głos i szebiot zmarłych, ale wiara rzuca w pierś ukojenie i woła głośno: "Tam ich zobaczysz, tych najdroższych!" I uśmiechem dziwnego szczęścia, zadowolona, jakieś wyanielona, a takie pełne miłości, że łyżki rodzicom i uspokojenie i powtórzyli: "wszystkich zobaczymy".

Została sierota sama, sama bez ojca, bez matki, bez siostry i brata. Takie pustkowienie dokoła, to męka, to jakaś ciemnica dla serca. Ale w tej ciemnicy rozwidniło się blaskiem wiary. Wiara szepnęła sierocie: "oni stamtąd czuwają nad tobą" i już nie była samą na świecie i już nie było koło niej pustkowiecia i już nie było dla niej męki. Podniosła sierota oczy do góry, jakby tam chciała ujrzeć najdroższych i w smugach światła utkwiała oczy, a oczyma duszy ujrzała błogosławiące dłonie matki i ojca i spokój w nie osiadł. "Wszakże ich zobaczę"—rzekła jej dusza i sierota otarła łyżki boleści i poszła w świat z otuchą, że "oni czuwają nad nią i błogosławią jej życiu", z pociechą, że "ich zobaczy".

Z taką otuchą, z taką pociechą podniosła się Rozalia Verdier z grobu ojca.

Daubrac nie odstępował jej na chwilę. Gdy skończyła modlitwę żałobną, gdy podniosła się z klęczek, podał jej ramię i szepnął:

—Pragnę ci pani bodaj w części zastąpić to, co straciłaś. Niech w tem miejscu, przy świeżej mogile, duch twojego ojca pobłogosławi moim pragnieniom, niech dusza twej matki szepnie ci słowo, którego z ust twych będę wycze-kiwał.

Uścisnął jej rękę zadrgała.

—Wyszli razem, a przy nich Meriadec, opodał także Saint-Briac. Przywitał się uprzejmie, a smętny był dziwnie, bo ze smętkiem skojarzył się uśmiech, jakim kraszają się usta, co wypowiedziały światu lekceważenie miłościwe i pełne rezygnacyi pożegnanie. Przywitał się, uścisnął dłoń wszystkim serdecznie, bez przymieszki konwenansu, nie rzekł mową i odszedł, jak ten, co myśli zaraz powrócić. Czy na ten cmentarz chciał wracać? czy tylko myśl jego ku niemu wracała?

Smutni byli i niemi z żalu i współczucia dla sieroty, więc uściskiem na uścisk odpowiedzieli. On poszedł, oni wsiedli do fiakra i pojechali na ulicę Casette.

Jakież było zdziwienie barona, gdy pierwszy dojrzał tłum ludzi koło swego domu.

—Coś się tu stało—zawołał.

—Zbiegowisko—rzekł Daubrac, wyjrzawszy z karetki.

—Czy nie stało się jakie nieszczęście? Boże! może Sza-sza? . . .—szepnęła Rozalia.

Fiakier zatrzymał się przed domem.

—Co to takiego?—zapytał Meriadec, wyskakując z powozu.

—Chwycili zbójów, złodziei. Podobno prusacy, psy pruskie. Chcieli zamordować jakieś dziecko— wołał ktoś z tłumy.

—Zabili Polaka—zawołał ktoś inny.



Zjawił się policyjant i nawoływał do rozejścia. Meriadcę zwrócił się ku niemu z zapytaniem.

—Właśnie przed minutą zabrano zbrodniarzy i odwiedziono pod silną strażą, ale tłum jeszcze ciekaw sensacy, bo jest tam ktoś ciężko ranny.

\* \* \*

—Wpadli wszystko troje pędem do domu.

Gdy Fabrequette opowiedział całą historię z ulicy Marbeuf, wydało się wszystkim, że to opowiadanie z "tysiąca i jednej nocy". A humoru mu nie brakło w opowiadaniu, bo lekarz ponownie zapewnił, że Kosińskiemu nic nie grozi. Szyty let wszedł pod żebro, ale nie nadwyreżył żadnego wewnętrznego narządu. Krępowała malarza obecność sędziego, ale Malverne nie długo bawił. Skoro tylko lekarz pozwolił przesłuchać Kosińskiego, spisał jego zeznania, a potem za jego pośrednictwem porozumiał się jeszcze z Trofimowiczem.

—Okolo godziny siódmej dam znać. Jeżeli agent policyjny was wezwie, wtedy Trofimowicz ze Szaszą i pan Fabrequette zechcecie przyjechać do klubu i czynić to, co agent policyi poleci. Brak mi słów na wyrażenie panu podziwu i wdzięczności, panie Fabrequette.

—Ej, co tam mówić o tem. To panie sędzio dopiero radość, że Prusaki pójdą na gałąź!

—Widzę, że nienawiść pańska do Prusaków nie mniejsza od pańskich zasług. Panów, panie baronie i panie doktorze, będę jutro oczekiwał w biurze o dziesiątej rano.

Malverne odszedł, a wtedy dopiero Fabrequette puścił wodze językowi.

—Doktorze, doktoru, zbawco. Gdyby nie pańskie dzie sięć franków, nie byłoby absyntu, no a bez absyntu, nie byłby się ocknął ten stary, a ja sam nie byłbym dał rady wszystkie mu. Ba! a pański obiadek! Panie! o wędlinach mojego rzeźnika byłbym nie przetrzymał głodu. A to moi panowie apetyt rośnie bardzo w takiej piwnicy. Br! br! zimno, ciemno.

Szasza rzucił się na szyję Fabrequettowi i ścisnął go najserdeczniej.

—Pan mi ocalił Trofimowicza, pan go od śmierci wydarł. Jaki pan dobry. Ja całe życie będę o tem pamiętał.

—Ej, co tam, to nic, ale to najważniejsze, że nam Sza-

sza żyje. Niech żyje zacy Kosiński! Vive la Pologne! Pamiętajże sobie paie Szasza, że sztylet pruski wbił się w pierś, która Rosyanina zasłaniała. Ot widzisz! Jak Polak Kosiński zasłaniał ciebie od pruskiego mordy, tak Polska zasłania Rosyę i to żelazo niemieckie, co wierci dziś ciało Polski, wierciłoby Rosyę, gdyby jej Polska od Prus nie oddziełała. Pamiętaj to kiedyś, gdy dorosisz i powiedz wtedy swemu narodowi, aby miał dla Polski takie uczucie, jakie ty panie Szasza masz dla Kosińskiego. Tak, tak, ja lubię wesołość, bo kiej świat i kpy ludzie na nim, z wyjątkiem barona, doktora, no i reszty obecnych, oczywiście także z wyjątkiem mojej osoby. Lubię wesołość, ale kocham prawdę i uczciwość. Pamiętaj Szasza: niech będzie prawda i uczciwość między Polską i Rosyą, a Prusaki przepadną. Co daj Boże, amen. A teraz dajcie nam jeść panie baronie. Gwałtu! Już mi się boki zapadły. No stary Trofimowicz, a co? Francya, Rosya i Polska pokonały pruskie łajdactwo, co? Niech żyją!

\* \* \*

Gospodyni tak była przerażona tem, co się stało, że się spóźniła z podaniem posiłku.

Daubrac zbadał rannego Kosińskiego i zapewnił, że za kilka dni rana zabliznić się będzie. Rozalia ożywiła się, uszczęśliwiona, że Szasza uniknął śmiertelnego ciosu. Wszyscy z uwielbieniem spoglądali na Fabrequette i Kosińskiego. Trofimowicz wciąż ocierał łzy radości, gdy patrzył na Szaszę, a łzy boleści, gdy wspomniął straszną śmierć swej pani. Na Kosińskiego spoglądał z taką wdzięcznością, z takim uniesieniem, jakie tylko w tak uczciwej a prostej duszy pomieścić się mogły. Szczęśliwy, że po swojemu rozmówić się może, łapał chętnie wyrazy rosyjskie, które Polak wypowiadał.

## XI.

Hrabia Zweimark poszedł dziś nawet wcześniej do klubu, niż zwykle, aby odsunąć od siebie wszelkie podejrzenia. Był bardzo swobodny, nawet wesół, mimo, że zaraz w pierw-



szej partyi przegrał dość znaczną kwotę. Już miał drugą partycję rozpocząć, gdy stanął przy nim Malverne i rzekł z cicha,

—Może pan zechce przeprosić panów za małą przerwę i poświecić mi kilka minut czasu?

Zweimark zmięszął się w pierwszej chwili, ale zaraz się opanował, uśmiechnął i odpowiedział uprzejmie:

—Panowie wybaczą, zaraz wrócę. Co za szczęście, że panu będę mógł czemś usłużyć.

Mówiąc to, podawał hrabia rękę sędziemu, ale ten udał, że tego nie widzi.

—Może mi pan użyczy posłuchania w osobnym gabinecie?—rzekł Malverne.

—Najchętniej—mówił Zweimark, siląc się na spokojną, dystygowaną uprzejmość.—Jakaś sprawa bardzo poufna?

—Istotnie—odpowiedział Malverne.

Służący otworzył drzwi gabinetu, w którym nie było nikogo i cofnął się natychmiast.

—Czem panu mogę służyć, panie Malverne?

Chciałem małego wyjaśnienia co do osób, które utrzymują, że pana znają i pragną pana zobaczyć.

—Czyż to tak było ważne i pilne, że aż w klubie...

—Przekona się pan o tem.

To rzekłszy Malverne pocisnął dzwonek i we drzwiach ukazali się: Fabrequette, Trofimowicz i Szasza, a za nimi dwaj agenci policyjni.

Zweimark osłupiał, zbladł, nogi się pod nim ugięły, zachwiał się, zaczął coś belkotać i byłby runął na posadzkę, gdyby nie agenci, którzy go podtrzymali.

—Wilhelm Kennemann!—zawołał Trofimowicz.

—Prawdziwy prusak—szepnął Fabrequette.—Zuchwały, bezczelny, tygrysi, gdy pewny siebie, gdy silny; tchórz, podły, gdy widzi przemoc.

Szasza na widok ojczyzna poczerwieniał, krew biła mu do głowy i zrazu słowa wyrzec nie mógł. Żal, nienawiść, dławili go, pętały, wreszcie rzucił się na Zweimarka i krzyknął:

—Gdzie moja matka? Oddaj mi matkę morderco!

Trofimowicz ujął chłopca łagodnie za rękę i rzekł:

—Daj spokój. Sprawiedliwość ludzka wymierzy mu zasłużoną karę, a Bóg go osądzi na tamtym świecie. Daj spokój Szasza, on nieszczęśliwy przez to, że taki zły. Wilk wilkiem, prusak prusakiem.

—Zabiłeś moją matkę!—krzyknął raz jeszcze Szasza i zalał się łzami, łkał, szlochał i uspokoić się nie mógł.

Zweimark ocknął się, wyprostował, potoczył wilczym wzrokiem dokoła, zgrzytnął zębami, sięgnął do kieszeni, migiem dobył rewolwer, strzelił w Szaszę, potem zwrócił broń ku sobie. Ale kula świsnęła ponad głową chłopca, a do siebie wypalić nie zdołał, bo go chwyciły silne dłonie Trofimowicza. Agenci broń mu odebrali.

Fabrequette przypatrywał się Zweimarkowi badawczo jak malarz, i z zadowoleniem, jakie sprawie ujęcie zbrodnia-  
rza.

—No, panie hrabio, może się gniewasz na mnie, że ośmieliłem się porzucić twój gościnny pałac bez pożegnania. Nie miło to panu, że zabrałem też z sobą tego starego, coś go tak uprzejmie gościł u siebie? Bardzo pana przepraszam, panie hrabio Zweimark, czy też panie Kennemann, jak panu wygodniej.

—Milcz szatanie—ryknął z wściekłością Zweimark.

—Ależ nie tak gniewnie, nie unos się pan irytacją, bo to panu popsuje apetyt.

—Panie Fabrequette, proszę teraz powtórzyć temu panu rozmowę, którą słyszałeś—rzekł Malverne.

Fabrequette opowiedział wszystko, co słyszał.

—Co pan na to? panie Zweimark.

—Tu nie sala sądowa i nie myślę żadnych dawać odpowiedzi—rzekł hardo, rozpaczliwie morderca.

—To już do mnie należy osądzić, gdzie mam przesłuchiwać zbrodniarzy—rzekł Malverne spokojnie.

—Zbrodni mi nie udowodniono, zbrodniarzem nie jestem.

—A Trofimowicza kto skrupował i wtrącił do lochu?  
Zweimark milczał.

—Wspólnicy ujęci, pochwyteni na gorącym uczynku.

—Aha! Pański przyjaciel bardzo mądry, ale tym razem spudłował. Już nie będzie wdziewał peruki, przyprawiał bro-



dy i stroił sę w niebieskie okulary. Ja mu to przepowiedziałem, że pójdzie na szubienicę.

—Oddaję panom obwinionego, zwiącego się hr. Zweimarkiem—rzekł Malverne zwracając się do agentów.

Pod eskortą żandarmów odwieziono mordercę wprost do więzienia.

\* \* \*

W pół godziny potem dokonał Malverne, w asystencji policyi, ścisłej rewizyi w ulicy Marboeuf Fabrequette z Trofimowiczem pokazywali miejsce, w którym przebywali, którędy uciekali. Odkryto jeszcze jeden pokój, do którego wejście było zaledwie widocznem. Tam znaleziono korespondencye, akt sprzedaży Weryi, żelazną szkatułę, a w niej cenne klejnoty kobiece i pakiet obligacyi, listów zastawnych i banknotów, na kwotę blisko miliona rubli. Papiery, klejnoty, pieniądze zabrano w przechowanie sądowe, dom otoczono strażą.

## XII.

Saint-Briac przebywał ciężkie chwile. Targała mu się dusza, że zdeptał spokój domowy przyjaciela, że ściągnął na Odetę nieszczęście, a bodaj tylko szereg cierpień, dotkliwy, prawie zabójczy. Najmniej żałował siebie, a przecie nasuwało mu się uparcie i nasuwać musiało uczucie upokorzenia, że tak źle pokierował życiem. Był jedynym już z rodu Saint-Briac. Jakże spełnił obowiązek, który miał względem szeregu przodków, szeregu długiego, sięgającego nieprzerwanem pasmem do pierwszej wyprawy krzyżowej? Ostatni z Saint-Briaców, ostatni z rodu starej, ucziwej, zawsze honorowej szlachty, dopuścił się czynu niegodziwego. Nie zdołał zdławić w sobie słabostki, która splamiła honor. Plamę honoru tylko krwią oczyścić może prawdziwy szlachcic. Tak! krwią ocali honor, ale zgaśnie ród i on będzie temu winien. Niech ród wyginie byle nie wygaś honor!

Takie myśli i uczucia przenikały kapitanu, aż wreszcie uspokoił się, rezygnacya go objęła i przenikła nawskroś i spokojny był zupełnie. Wyczekiwał wyzwania Malverne'a.

Nazajutrz po ujęciu zbrodniarzy, kiedy Saint-Briac przeglądał jeszcze pakiety popieczętowane, w których poumieszczał papiery i rozporządzenia ostatniej woli, zadzwoniono do mieszkania. Byli to sekundanci Malverne'a.

Nie spodziewał się tego kapitan. Zdawało mu się, że Malverne nie zechce nadawać sprawie rozgłosu i wezwie go śmiertelnej rozprawy może bez świadków. Tak myślał, a może i pragnął tego, zdawało mu się, że Odetę kocha bardziej, niż życie własne i dla niej byłby się dał zabić, byle jej nie kompromitować.

Stało się!

Jeszcze tego samego dnia wyznaczono godzinę walki śmiertelnej. Mieli strzelać do siebie o piętnaście kroków, na wieży Notre-Dame, na tem samym miejscu, na którym Saint-Briac miał schadzkę z Odetą.

—Raz, dwa, trzy!

Padły równocześnie dwa strzały.

Malverne strzelił w górę, wołając:

—Nie mogę zabić przyjaciela.

Saint-Briac skierował pistolet ku własnej piersi, zawołał:

—Wybacz! krwią własną okupuję winy.

Strzelił i runął.

Podbiegł lekarz, rozrywa odzienie, krew tryska. Ale tętno jest, oddech nie ustał, życie nie zgasło, kula przeszła pod żebra, niezabiła.

Zniesiono rannego, odwieziono do domu. Malverne z lekarzem i dwaj przyjaciele, świadkowie, pielęgnują go na przemian, nie odstępują.

I tak upłynęły dwa tygodnie.

\* \* \*

Tymczasem toczyło się śledztwo i przybierało dość szerokie rozmiary, bo docieczone, że tak zw. hr. Zweimark był naczelnikiem wielkiej bandy oszustów, złodziei i fałszerzy monet. Banda składała się z rzezimieszków wszel-



kich narodów i miała gniazdo rozrzucone po całej Europie. Sprawa powikłana, domagała się badań i dochodzeń w różnych państwach, w kilkunastu stolicach i większych miastach europejskich. To atoli stwierdzono, że tak zwany hr. Zweimark nazywał się właściwie Wilhelm Kennemann, że był niegdyś oficerem pruskim, że z wojska musiał wystąpić z powodu fałszywej gry w karty, że potem znikł z Berlina.

Pięknej postawy, urodziwy, rzucił się z miejsca na miejsce, wydoskonalił się w szalbierstwie i żył ze szalbierstwa. Potem okoliczności złączyły go z innymi oszustami, aż stanął na ich czele, osiadłszy stale w Paryżu.

“Operując” w Marienbadzie, poznał rosyjską hrabinę, ołsnął ją, oczarował, został jej mężem. Gdy ją zamordował i blisko milion rubli złupił, zamierzał uciec z dwoma najpoufalszymi spółnikami, osiąść w Ameryce i używać “emerytury”. Oślepiła go namiętna nienawiść do niewinnego dziecka i dostał się w ręce sprawiedliwości.

Szasza i Trofimowiczem zajęła się ambasada rosyjska. Pozostali jeszcze czas jakiś w Paryżu, w domu barona, dopóki nie wyszukano w Rosyi jakiegoś krewnego, który nad sierotą opiekę objął. Za staraniem rządu rosyjskiego i opiekuna udało się Wryę odkupić, gdy trybunał paryski zwrócił z depozytu pieniądze, odebrane mordercy.

Kosiński wyzdrowiał zupełnie. Szasza błagał, zaklinał, aby go nie opuszczał i z nim do Rosyi pojechał.

W domu barona cicho było i spokojnie, tylko doktor Daubrac codziennym bywał tam gościem, aż po kilku miesiącach poprowadził do ołtarza Rozalię Verdier i baron pozostał sam ze swą starą gospodynią.

### XIII.

W rok potem, radość była w domu sędziego. Pani Malverne powiła syna po kilku latach małżeństwa. Zmienił się dom sędziego. Przyjęcia bywały rzadkie, pani Odeta unikała ich, zapomniała o strojach, oddała się dziecku, rozpromieniona, szczęśliwa. Malverne zapomniał o bolesnym epizodzie, wdzięczny żonie, że została matką.

Raz, wpatrując się w dziecięcą, wyciągającą ku niemu rączkę, odezwał się pół żartem do żony:

—Czy teraz kupiłabyś niebieski welon? co?

Odeta zarzuciła mu ramiona na szyję i rzekła pieszczotliwie:

—Brzydki jesteś, że się pytasz. Kocham cię, kocham i kochałam zawsze. Ty wiesz, że kobieta dopiero wtedy jest prawdziwie szczęśliwą, gdy ma ot takie maleństwo.

—A gdy niema maleństwa, to szuka sobie... kapitana.

—Cicho, cicho—szeptała Odeta, całując usta męża.—Kobieta, nie mająca dziecka, nudzi się i szuka zabawy. Wiesz dobrze, że nie było nic złego, nic, za co bym się nawet rumienić mogła—ot, zazdrośnik z ciebie paskudny.

—Kocham cię, kocham bardzo—a kto tak kocha, ten jest i tak drażliwy.

Służący podał listy świeżo przyniesione.

—Oho! pismo Saint-Briaca!. Skąd? Ej, z Orleanu! A to co? żeni się. Chwała Bogu! No przecież! Słuchaj.

“Drogi mój, zacny, jedyny przyjacielu! Może nie oczekiwałeś listu odemnie. Jeżeliby Ci wydawał się dziwnym, to sobie przypomnij swą dobroć, swą zanność, z jaką pielęgnowałeś mnie, aby ocalić życie, które Twemu życiu dotkliwą wyrządziło przykrość. Twoja dobroć sprawiła, że żyję, w całej pełni, bo jestem szczęśliwy. Po wyjeździe z Paryża, spędziłem kilka miesięcy w podróży bez celu, aż zajrzałem do krewnych w okolicy Orleanu. I tu poznałem kuzynkę daleką. że poznałem, to nic, ale że pokochałem ją, że pokochałem gorąco, szczerze, to ważniejsze, bo oto wzajemnością jej uszczęśliwiony, żenię się i Ciebie pierwszego o tem uwiadamiam. Ślub za sześć tygodni.

Dziś widzę, że samotne życie jest najlepszym sprzymierzeńcem tych demonów, co wykolejają człowieka. Byłeś mi jakby bratem, więc po bratersku побłogosław i przyjm uściśnienia. Twój.....”



—A co? nawrócił się! Chwała Bogu! Zawsze mu to powtarzałem, że człowiek nie mając żony, żyje połową życia, bo drugą połową się nudzi.

—A kobieta nie mając dziecka. Wam mężczyznom wystarcza, gdy jesteście mężami, aby mieć treść życia; kobiecie nie dość być żoną, ona musi być zarazem matką, aby się jej życie wypełniło.

—A więc co z weselem? pojedziemy?

—Ty pojedziesz, ja mam syna i samego zostawić nie mogę. Saint-Briac nie miał żony, ja nie miałam syna; znałiśmy się od lat dziecięcych, byliśmy niemal jak brat ze siostrą i z nudów bawiliśmy się w romans. Było to coś jakby teatr amatorski. Dziś niema czasu na takie dzieciństwa. Mam syna! Chodźże nudziarzu, niech cię popieszczę za to.

\* \* \*

Fabrequette nabrał takiego rozgłosu w Paryżu, że go rozrywano i placono mu bajeczne ceny za lada obrazek, byle mieć robotę jego pędzla. Wszakże był prawdziwym bohaterem, a szczególnie w oczach kobiet. Malował, ale i kształcił się wytrwale, to też zajął wybitne stanowisko artystyczne. Temperament i humor nie opuszczały go, a był spokojny, dostatni, uszlachetnił poczciwego łobuza. Gdy musiał wypocząć zachodził do barona, lub doktora.

Pewnego razu, gdy wpadł do doktora, zastał przybytek w rodzinie. Przed tygodniem Rozalia powiła syna.

—Wymaluję portret; pokażcie to małe doktorzátko— rzekł wesoło, jak zwykle do Daubraca. Wszakże mi pan dałeś zadatek wtedy, owe dziesięć franków, a do tej chwili, chociaż więcej niż rok upłynął, nie zamówiłeś roboty. Ale, ale. Dostałem list od Kosińskiego. Czytałem go baronowi, teraz przyszedłem z nim do pana. W liście załączone przypiski od Szaszy do barona i doktorowej. Smarkacz doskonale pisze po francusku. Słuchaj doktorze.

“Proszę sobie przypomnieć Szaszę. Ja Wam zawsze będę wdzięczny. Barona wspominam, jakby ojcem był moim, odoktora, jak przyjaciela, pannę Verdier kocham jak siostrzyczkę a pana ściskam serdecznie, jako zbaw-

cę mego drogiego Trofimowicza. W ocaleniu mego życia jest pan współnikiem pana Kosińskiego. Kocham Was, wdzięczny Wam jestem i całe życie wdzięcznym pozostanę”.

—Widzi pan, jaki dobry chłopak. Trzeba odpisać. A to się ucieszą, gdy się dowiedzą, że łotrów Prusaków wyprowadził kat do piekła. Wilhelmek, Frytzek i ten trzeci z dyabłami teraz uczują. No, do widzenia doktorze. Ukłony doktorowej i doktorowi.

Daubrac uściśnął serdecznie poczciwego roztrzępionca i poprosił, aby mu wymalował obraz o motywach “na wieży”.

KONIEC,



# JEDNEMU SZYDŁA GOŁĄ DRUGIEMU BRZYTWY NIE CHCĄ.

HUMORESKA.

## I.

Jęknęły przeciągle hamulce, zgrzytnęły dobitniej koła wagonów, pociąg zatrzymał się jak wryty.

Strzycki, jakby chcąc upewnić się, czy jest już u celu podróży, spytał siedzącego przy nim młodzieńca o nieokreślonej powierzchowności:

—Czy to już Hamburg?

—Pytałem pana—odparł zapytany—kilka razy już, dokąd pan jedziesz, panesć całą drogę milczał. Teraz więc, pomimo, że to jest Hamburg, odpowiem panu krótko: “nie wiem!”...

Strzycki chwycił ręczne zawiniątko i wyskoczywszy z wagonu znikł w różnobarwnym i różnojęzycznym tłumie emigrantów.

—Gwarniej tu nawet, niż u mnie w domu—pomyślał—lecz tu dziesiątki tysięcy urwipolców z całego świata, a w domu tylko dwie kobiety: żona i jej matka—i zaczął torować sobie drogę łokciami.

Wtem usłyszał za sobą wołanie:

—A, panie Strzycki, dokąd, że to?

Obejrzał się i zadrżał, ujrawszy Williama Kentleya, agenta fabryki “Patria”, dostarczającego smarów firmie, w której Strzycki pracował. Zaklął w duszy, lecz siląc się na uśmiech, odpowiedział:

—Ja, panie. Sprzykrzyło mi się niszczyć garderobą wypłowiałe firmowe stołki, więc jadę trochę się przewietrzyć.

Kentley utkwiał w nim bezbarwne, rybie oczy, ziewnął i rzekł:

—All right! ja także, panie, jadę do New Yorku. Zajmijmy więc razem dwuosobową kajutę, a będzie nam rażniej. Najlepszy prawie transatlantycki parowiec "Stella" odchodzi jutro, mamy więc dość czasu na wypróbowanie wartości miejscowych trunków. A jak pożegnał się pan z pryncypałem? Zresztą nic mi do tego, a gdybyś pan nawet miał przy sobie pamiątki po wiedeńskim Rotszyldzie, będzie ci bezpieczniej ze mną, niż z innym jakimś obieżyswiatem.

Strzycki przyznał mu rację. Oddali bagaż portyerowi i pojechali tramwajem do miasta. Tu Kentley zaproponował, by nie marnować drogiego czasu, bo "time is money" i namacalnie przekonać się o wysokiej wartości "whisky" i "ginu". Wstąpili więc do jakiejś drugorzędnej traktierni pełnej dymu, wyziewów alkoholu i zapachu, jaki po sobie pozostawiają wychodźcy.

Kentley okazał się nie tylko znawcą, lecz i wielkim nieprzyjacielem różnych spirytualii, bo niszczył, to jest właściwie pochłaniał je w przerażającej ilości. Strzycki zaś pomimo usilnych starań i nie małej w tym kierunku praktyki, nie mógł mu dotrzymać placu. Po kilku kieliszkach whisky i paru szklankach grogu rozślimaczył się.

—Pan myśli, kochany panie Kentley, że ja uciekam do Ameryki, pożyczycwszy sobie z kasy pryncypała jej zawartość. Nie, panie! Dotychczas żaden jeszcze Strzycki, herbu Tr zycza, złodziejem nie był, bo byli to wszystko, nie wyłączając mnie, ludzie głupi. Tak, panie... a przytem z tego zapewne powodu bardzo uczciwi, lecz nieszczęśliwi. każdy z nas pod pantoflem siedzi, a ja właśnie od tego pantofla uciekam. Tylko ludzie bardzo bogaci mogą sobie pozwolić na energiczne żony, choćby z tego względu, że przy małżeńskich nieporozumieniach marnuje się u nich dużo szkła i porcelany.

Wychylił duszkiem zawartość szklanki i ciągnął dalej, Kentley zaś patrzył oglupiałym wzrokiem na muchy, latające z trudem po spotniałej twarzy Strzyckiego.

—I byłbym może pozwalał dalej swojej magnifice próbować wytrzymałość szklanek i talerzy ze szkodą swego ciała, lecz wyobraź pan sobie, kilka dni temu, gdy wynikła



jakaś bagatelna sprzeczka, żona moja, nie mając widocznie nic lepszego pod ręką, wyróżnęła mnie w łeb moździerzem. . . .

—Co?!—wrzasnął nagle Kentley—moździerzem? No, to masz rację, uciekając od niej, bo gdyby coraz to cięższych zaczęła używać pocisków, mogłaby kiedybądź rzucić w pana conajmniej wrzącym samowarem. Ale ja osobiście sądzę, że jest to najzupełniej wystarczający powód, by wypić po szklance grogu. . . .

Powodów było niemało. Strzycki pił i choć słuchał, co mu Kentley opowiadał, niewiele z tego mógł zrozumieć. Dowiedział się tylko, że Kentley'a wezwano do San-Francisco, gdzie zachorował jego stryj, bezdiety milioner, którego nie tylko, że nie widział, lecz o którym nawet nigdy nie słyszał. Nie wiedział więc Strzycki, czy życzyć Kentley'owi by stryj jego powrócił do zdrowia, czy też, żeby jak najprędzej opuścił ten padoł płaczu. Zdawało mu się tylko, że już jedzie okrętem i było mu dziwnie błogo i przyjemnie, choć uczuwał lekkie kołysanie, a wrażenie to spotęgowało się jeszcze, gdy po wypiciu ostatniej szklanki grogu doznał uczucia, jak gdyby znajdował się podczas silnej burzy na mocno rozkołysanym parowcu. Zdawało mu się bowiem, że za pomocą jakiejś olbrzymiej pompy hydraulicznej wyciągają mu z wnętrzości powietrze. . . .

Gdzie noc przepędził i w jakich warunkach, nie wiedział, dość, że gdy zjawił się na dworcu o umówionej godzinie, zastał tam już Kentley'a.

—Kajutę na "Stelli", kochany panie, mamy już zamówioną. Którą pan sobie wybiera kabinę; górną, czy dolną?

—Wszystko jedno—odrzekł Strzycki—bym tylko nie męczył się podczas rzeczywistej podróży bardziej, niż wczoraj, gdym marzył, że o kilkanaście węzłów odjechałem od lądu. Choć na morzu, o ile przypuszczam, lepiej niż na stałym lądzie, gdyż nie tylko wyżeł, lecz nawet najbardziej kochająca żona nie trafi po śladzie.

—Chorować nie będziemy, jeżeli weźmie się z sobą odpowiednią do wymagań chwili ilość koniaku i śliwek suszonych. Mając zaś na względzie to, coś mi pan po czwartej

szklance grogu wczoraj powiedział, pamiętałem i o sobie i o panu. Spieszmy się jednak, gdyż za godzinę parowiec kiwnąć ma ogonem Europie na pożegnanie.

\* \* \*

Kołyszący się zwolna na falach parowiec porównać można do korka, rzuconego w napelnioną wodą miednicę, w tym tylko wypadku, jeżeli człowieka, króla stworzenia, porównamy do pchły. Strzyckiemu zdawało się, gdy wchodził po przyczepionych z boku schodkach okrętowych, że mniej nawet znaczy, niż pchła, gryząca przeciętnego proletaryusza.

Wdrapawszy się w dosłownem tego słowa znaczeniu na pokład, spojrzął i machinalnie chwyciwszy Kentleya za rękę, jęknął. . .

—Kodak w kieszeni, pokład pod nami, a w górze Bóg—szepnął Kentley.—Jeżeli nawet źle będzie, to pociesz pan się tem, że już chyba do swej żony nie wrócisz. . . Ja zaś chciałbym zobaczyć swego stryja po raz pierwszy, a w jakim go zastanę stanie, to także rzecz nie moja, lecz Opatrzności.

Poruszyć z miejsca narowistego konia stokroć łatwiej, niż bezduszną, a ogromem 22.000 sił koni parowych (HP) liczoną maszynę. Długo jęczy, długo sapie, nim wreszcie posunie się naprzód. Olbrzym kołysze się powoli, odдыcha, ciężko, dając poznać ludziom ogrom wysiłku.

Emigranci, zapełniający górny pokład, cisnąc się do okalających go balustrad, modlą się lub też przy akompaniamencie harmonii i skrzypiec śpiewają ludowe piosenki.

Kentley pociągnął przyglądającego się "górnym" sferom Strzyckiego.

—Chodź pan, trzeba żebyś pan wiedział, którą zajmujemy kajutę. Ja na górzę, pan na dole. . . Dobrze?

—Jak pan chcesz, tak będzie dobrze, lecz panie, mnie już mdli. . .

—Ależ jeszcze kotwicy nie podniesiono!

—Być może, ale kotwica nie tkwi w moim żołądku, więc należycie tego odczuć nie mogę. Czuję natomiast straszłą pustkę, którą radbym czemś zapełnić. Chodźmy więc.

Gdy weszli do kajuty, opatrzonej okrągłym okienkiem, Strzyckiego zdjął lęk. . . Przypomniał sobie, że kiedyś w dzieciństwie łapał muchy i chował je w pudełku od zapalek. . .



Kentley sięgnął do sakwojaża, wydobyl z niego butelke koniaku i szklanke.

— Nie tak cieszę się z tego, że odnalazłem stryja, pomimo to, iż ojciec mój, jak mi opowiadał, był jedynakiem, jak z tego, że mam towarzysza podróży w panu. A że ko-cham swego nieznanomego stryja, niech dla pana będzie do-wodem to, że przed spotkaniem się z panem, wysłałem de-peszę do pana Johna Crayland, adwokata w New Yorku, iż jadę na Stelli. Wrazie potrzeby może mi przysyłać wiado-mości za pomocą telegrafu bez drutu. I o pańskie zdrowie dbałbym tak, jak o zdrowie stryja, gdybyś mi pan, podob-nie jak on, zapisał sześć i pół miliona dolarów.

Podzielony smutek jest połową nieszczęścia, a podzie-lona radość podwaja się. Gdy dowiemy się jednak o odzie-dziczeniu przez kogoś spadku, mimowoli zazdrościmy mu. Ułomności natury ludzkiej przypisać to chyba tylko można, że każdy woli widzieć wé własnej kieszeni rubla, niż w cu-dzej milion...

Strzycki zaczął więc w duszy zazdrościć Kentley'owi po-służyło to za powód do odkorkowania nowej butelki koniaku.

— Jesteśmy już, kochany panie Strzycki, o 833 lądowych wiorst i 132 morskich węzłów od Warszawy, a gdybyś pan teraz nawet i chciał to z tego miejsca nie wrócisz już do swej żony, by podstawić głowę pod moździerz, lub samo-war....

Smutno zroliło się Strzyckiemu na to wspomnienie, bo do wszystkiego człowiek przyzwyczaić się może, ba, nawet do własnej żony, choćby ta wzorem austriackich deputowa-nych przekonania swoje wpajała za pomocą pięści, osuszał więc kieliszki i szklanki, by według rady Kentley'a uspokoić wzburzone nerwy.

Nim się opamiętali, nastąpił wieczór cichy, tak cichy, jak tylko na oceanie być może. Prócz zgrzytu śrubby, pru-jącej fale, nic słyhać nie było. Długa smuga światła zna-czyła ślad, którydy przepływał kadług olbrzyma, niosącego w sobie setki wychodzców.

Wyszli na pokład, a świeże powietrze rozmarzyło ich do reszty. Zaczęli opowiadać jeden drugiemu swe dzieje i pocieszać się nawzajem. Kentley'owi zrobiło się gorąco. Wy-

pił dużo, lecz wmówił w Strzyckiego, że najlepszym środkiem na ochłodzenie jest limoniada imbirowa (Ginger Lemonade). Zeszli więc znów do kajuty i kazali ją sobie podać.

“Ochładzanie” wywarło wręcz przeciwny skutek. Kentley poczerwieniał, oczy jego nabrały dziwnego blasku. Chciał dojść do łóżka, by położyć się, lecz trudno było mu utrzymać równowagę. Strzycki podprowadził go, pomógł mu się rozebrać i ułożył go w dolnej kabynie. Sam wspiął się na górne łóżko i zasnął snem twardym, lecz niespokojnym. Zdawało mu się nawet, że go ktoś woła, że to nawet Kentley przyzywa go na pomoc i jęczy, rżąc, jakby się dławiał.

\* \* \*

Wysoko już było słońce nad horyzontem, gdy zbudził Strzyckiego pukanie do drzwi kajuty. Zeskoczył z łóżka i drzwi uchylił.

—Depesza dla pana Williama Kentley'a—rzekł chłopiec okrętowy, wręczając Strzyckiemu kopertę.

—Panie Kentley!—wołał Strzycki—oto wiadomość o pańskim pocziwym stryjaszu. Przeczytaj pan i powiedz mi, czy ten szlachetny starzec prędko uczyni cię milionerem...

Kentley leżał przykryty kołdrą na twarz. Widząc, że się nie budzi, Strzycki uniósł lekko kołdrę. Zdrętwiał...

Leżał przed nim nie Kentley, ale trup Kentley'a. Sino-czerwona twarz, wybiegłe z orbit oczy i naprężone żyły szyjowe, mówiły aż nadto wyraźnie, że wskutek obfitych wczorajszych libacyi nastąpił udar apoplektyczny.

—A no, cóż robić, szlak go trafił, bo takie widać było jego przeznaczenie. Lecz co zrobić teraz z depeszą? Wszak nieczytanej nie można zwrócić, a że on jej przeczytać nie może, to chyba jest to moim świętym obowiązkiem.

Rozerwał kopertę. Depesza była krótka.

“Mr. William Kentley na Stelli. Stryj pański wczoraj umarł. John Crayland”.

—I ten osioł teraz właśnie potrzebował umrzeć! Ja na jego miejscu wstrzymałbym się choćby kilka lat, by bodaj połowę stryjowskich milionów w godniejsze oddać ręce!... Szczęście mu lazło do ręki, a on nie umiał z tego korzystać! Prawda, że jednemu szydła golą, a drugiemu brzytwy nie chcą... Ot, gdybym ja był na jego miejscu!...



Wtem dzika, a szalona myśl przysłała mu do głowy.

—Wszak on już z tych milionów korzystać nie będzie.. Wybudują za nie jakiś uniwersytet, lub bibliotekę albo użyją na jakiś inny cel kulturalny, a wszak już nawet Rousseau twierdził, że cywilizacja tylko unieszczęśliwia ludzkość... Ja bym z tych pieniędzy lepszy użytek zrobił. Co by mnie i jemu szkodzić mogło, gdyby pochowali go jako Strzyckiego, a jabym jako Kentley odziedziczył spadek?... Wszak to nie kradzież, bo on przecież z tych pieniędzy korzystać nie może, a były dla niego przeznaczone...

Z pod poduszki, na której leżała bezwładnie głowa Kentley'a, wyjął pugilares, podłożył pod nią własny z dowodami, toż samo zrobił z zawartością wszystkich kieszeni, bagaż swój podłożył pod łóżko Kentley'a, jego zaś zarzucił na półkę nad swoją pościelą i—zamiana gotowa.

—I dla mnie lepiej i dla niego—pomyślał.—On na tym świecie będzie miał pociechę, że miliony owe dostały się w odpowiednie ręce, ja zaś zniknę dla swojej Malwinki bezpowrotnie. Teraz nie będzie miała na kim rozbijać talerzy, bo de iure umarłem już!....

Wkrótce między pasażerami rozeszła się wieść o nagłej śmierci wychodźcy, Polaka Strzyckiego. Doktor skonstataował apopleksję, zaszyto zwłoki w płótno, przywiązano u nóg ciężar i przy śpiewie psalmów biedny Kentley, jako Strzycki, pojechał na dno morskie, na pociechę rekinów.

Wiadomość o śmierci nawet nieznanego osobnika, czyż ni na nas pewne wrażenie, a cóż dopiero na współpasażerach, stanowiących na parowcu jakby jedną rodzinę. Smutno więc było tego dnia, gdy pochowano w falach quasi Strzyckiego. Nowy Kentley poprosił kapitana, by go przeniesiono do innej kajuty, co też niezwłocznie uczyniono.

Nazajutrz słońce weszło jak zawsze i nikt o nieboszczyku nie wspomniał. Znow zapanował wesoły nastrój, znow na pokładzie popołudniu usadowiła się orkiestra, starsi panowie grali w szachy i karty, młodzież tańczyła... Bywa tak nie tylko na okrętach, lecz i na lądzie...

Po sześciu dniach gęsto krążące mewy zaczęły zwiastować bliskość lądu. Pasażerowie większą część dnia przepę-

óziali na pokładzie, zakładali się, kto pierwszy i o której godzinie ląd ujrzy.

Nareszcie głośnie "hurra!" przeszło powietrze. Dostrzeżono siniejącą na horyzoncie smugę, a za kilka godzin zarysował się majestatyczny posąg Wolności na tle Jersey City i Brooklinu.

## II.

Mister John Crayland posiadał kancelaryę swoją przy Houdson Street. Kandydat na spadkobiercę udał się wprost do niego, pragnąc jak najprędzej upewnić się o dziwnych zrzędzeniach Opatrzności.

—Pan jesteś panem Williamem Kentley'em, którego mi polecił odszukać w Europie notaryusz w San Francisco. James Wilkens z rozporządzenia zmarłego tydzień temu Richarda Kentley'a?

—Ja, panie, a tożsamość osoby potwierdzić mogę dowodami, które mam z sobą...

—Muszę jednak—przerwał adwokat—uprzedzić pana o ważnym dość warunku, jaki nieboszczyk zastrzegł w testamencie. Otóż czyni pana swoim jedynym spadkobiercą, tylko w tym wypadku, jeżeli ożenisz się pan z miss Luizą Rockplayt, córką dawnej jego narzeczonej. Gdybyś pan na ten warunek przystać nie chciał, cała suma spadkowa ma być przeznaczona na cele dobroczynne, podług pańskiego uznaia...

Strzycki zdreptał. Wiedział dobrze, że popełnił już jedno przestępstwo, przerobiwszy się na Kentley'a. Teraz musi popełnić drugie—bigamię, gdyż trudno byłoby inaczej zle naprawić. Na skrupuły te znalazł jednak przekonywujący argument. Wszak ożenie się jako Kentley, nie jako Strzycki, bo Strzycki jako nieboszczyk, żenić się nie może. Kentley zaś jest kawalerem. Zresztą trzeba ratować od niechybnej zguby i siebie i miliony.

—Panie Crayland—rzekł—wola nieboszczyka stryja mego jest dla mnie świętą, więc pomimo, że miałem zamiar trwać dalej w celibacie, proszę, daj mi pan adres miss Luisy Rockplayt, a odszukam ją i natychmiast zastosuję się do życzenia mego stryja.



—Ułatwisz pan sobie nawet w ten sposób dochodzenie spadkowe i gdy zjawisz się u rejenta w San Francisco wraz z żoną, otrzymasz odrazu upoważnienie do podniesienia spadku, a miss Luiza Rockplayt mieszka przy Poultry Street Nr. 69. Gdy dostaniesz się pan do San Francisco, bądź łaskaw pozdrowić odemnie pana James'a Wilkens'a.

Strzycki-Kentley pożegnał Mr. Craylanda i udał się na poszukiwanie swej przyszłej żony. Odnalazł Poultry Str., a gdy stanął przed Nr. 69 silniej mu serce zabiło.

—A nuż teraz wreszcie, gdy już mam pewność, że szczęście mi się uśmiechać zaczyna, miss Luiza będzie koroną tego szczęścia? Jankeski, o ile wiem ze słyszenia, są pięknie zbudowane, gospodarne, uprzejme. Może też właśnie Opatrzność chce mnie nagrodzić za te kilka lat pożycia z Malwiną—myślał Strzycki, jadąc do góry windą.

Na 17 piętrze wysiadł, a ujrzawszy przed sobą długiego, jakby hotelowego kurytarza, zaczął się rozglądać, szukając mieszkania miss Rockplayt.

Otworzyła mu drzwi osoba niezbyt młoda, choć i niezbyt stara, lecz zato monstualnie brzydka.

—Chciałbym pomówić z miss Luizą Rockplayt.

—A więc słucham pana...

Strzycki, gdyby miał w kieszeni dowody, które pozostawił był nieboszczykowi Kentley'owi, pomimo milionów byłby się może cofnął, lecz postanowiwszy bądź co bądź za ów paszport otrzymać spadek rzekł:

—Jestem William Kentley.

—Ciesz się mnie to, że nie ja pana, lecz pan mnie szukasz. Warunki testamentu stryja pańskiego znasz pan, prawda? Więc?

—Ułatw mi pani, bym jutro mógł cię nazwać swoją żoną, a...

—To już, panie, tak jakby zrobione. Jurto o 9-ej rano w kościele św. Jakóba odbędzie się nasz ślub, póki nie przygotują nam potrzebnych dowodów, zjemy lunch tu u mnie, a o 2-ej popołudniu wyjedziemy pociągami do San Francisco...

Jak z 17-go piętra zjechał, nie umiał by tego Strzycki określić. Zapomniał o wszystkim: o żonie, o moździerzu, o

swoim przyjacielu, które śmierci zawdzięczał swoje powodzenie, a nawet o potwornej brzydocie miss Luizy.

Nazajutrz, gdy po ślubie znaleźli się w skromnym pokoiku miss Luizy, Strzycki-Kentley oprzytomniał, zwłaszcza gdy go zaczęła obsypywać pocałunkami, jakgdyby cały ich zapas, gromadzony w ciągu kilku dziesięcioleci, chciała odrazu wyładować.

—Lepsza, zdaje się—pomyślał—była tamta z moździerzem, niż ta z pocałunkami, lecz jak mówił nieboszczyk Cezar, "alea jacta est", więc trzeba brnąć w swoim Rubikonie....

Luiza zaś zaczęła zwierzać mu się i opowiadać smutne chwile dzieciństwa, a następnie lata, które mężczyźni słusznie zowią młodzieńcami, swe oczekiwania na śnionego przez wszystkie dziewice męża, o którego tak trudno w Stanach Zjednoczonych, gdzie każdy myśli tylko o bussinesie. A, że jak każda Amerykanka, miała wrodzone uczucie self-help'u, to jest samopomocy, więc też pracowała od kilku lat jako infirmierka w szpitalu św. Jakóba—dla umysłowo chorych.

Na szczęście dano znać, że przyjechał zamówiony ekwi- paż, którym państwo młodzi mieli się udać na dworzec, następnie zaś Pacific Railway'em do San Franciscó, by pożegnać się ze zwłokami mr. Richard Kentley'a, a przywitać jego miliony.

\* \* \*

O przysłowiowej szybkości amerykańskich pociągów zbyt niejasne mamy pojęcie, często bowiem niedomówiony wyraz nasz współpasażer na następnej dopiero usłyszy stacyi. Szybko więc poślubne chwile upływały dla Luizy, choć Strzyckiemu zdawało się, że jadą z szybkością przeciętnego towarowego pociągu drogi Nadwiślańskiej.

Dojechali nareszcie do celu i wprost z dworca udali się na Georg Street, gdzie mieściła się kancelarya mr. James'a Wilkens'a.

Notaryusz, przejrzawszy podane sobie dowody zapytał:

—Jak się pan nazywa?

—William Kentley, a to moja żona mistress Luiza Kentley, córka pani Mery Rockplayt, dawnej narzeczonej stry- ja mego Richarda....



—Czy pan mówisz o Richardzie Kentley, czy też o zmarłym przed dziesięciu dniami Richardzie Kertley? Lecz prawda, pan jako Kentley nie możesz być spadkobiercą pana Kertley'a...

Pomocnik Wilkens'a wydobyl z ogniotrwałej kasy oryginalny testament nieboszczyka.

—Ależ, panie szanowny, mnie depeszowano, że był chorym, a następnie, jak przystało na milionowego i bezdzietnego spadkobiercę, umarł stryj mój mr. Richard Kentley!

—Bardzo być może, że pan, panie Kentley, masz także stryja, który napewno kiedyś umrze, lecz tymczasem umarł tylko mr. Richard Kertley...

—Lecz, panie, ja tu umyślnie z Europy przyjechałem!

—W takim razie—odrzekł z flegmą rejent—poproś pan swego stryja, by chcąc się panu zrewanżować, gdy będzie miał zamiar umrzeć, pojechał do Europy, lecz ja tak jestem obecnie zajęty, że muszę pana prosić byś mnie pożegnał.

Strzykiemu-Kentley'owi zrobiło się o wiele gorzej, niż wówczas, gdy w Hamburgu, żegnając wraz z prawdziwym Kentley'em stały ląd, zapoznał się po raz pierwszy z whiskey i grogiem.

—Pomimo tak niemiłej dla ciebie, mój drogi, pomyłki, wdzięczna Opatrzności jestem, że nareszcie choćby tylko formalnie, przestałam być panną—rzekła Luiza, opierając się na jego ramieniu—prowadź mnie więc dalej przez życie...

—Pomieniał się strzyjek—za siekierkę kijek—myślał nasz bohater, włączając się potem bez celu po ulicach San Francisco z przyczepioną u boku nową żoną.—Stracony jestem teraz i dla siebie i dla świata bezpowrotnie. Ow milionyowy spadek dyabli wzięli, zostawiając mi dwie żony i w perspektywie dwa procesy sądowe: o podszywanie się pod cudze nazwisko i o bigamię.

Błądząc tak, uradzili, by zająć posilić się do baru. Tu Strzykiemu-Kentley'owi poprawił się humor, więc zgodzili się na propozycję żony, by powrócić do New Yorku.

—Tam ja znów zostanę infirmierką w szpitalu ty pracować będziesz w jakiej fabryce, lecz nie opuszczę cię nigdy—rzekła Luiza—a zauważywszy, że mąż jej zbladł i

jak gdyby dławiąc się, zaklął coś w niezrozumiałym dla niej języku, spytała:

—Co mówisz, my dear?

—Nic, mówię tylko, by tego Kent... nie, Kert... nie Strzyc... nie... o, co go zamiast mnie... raczej mnie zamiast niego... ot tego, co go utopili, ot lepiej żeby go były żywcem raki zjadły...

Mistress Luiza spojrzała na swego małżonka. Siedział blady, kurczowo zaciśnięte usta i oglupiały wzrok mówiły aż nadto dobrze, iż nowina o pomyłce i stracenie nadziei na otrzymanie spadku, fatalnie oddziaływały na niego. Sama zajęła się kupnem biletów i wyeksperymentowaniem bagażu, a w drodze tak męczyła go ustawiczną troskliwością i pytaniami o stan zdrowia, że Strzycki-Kentley na przedostatniej stacyi wyskoczył, by dopiero następnym pociągiem udać się do New Yorku, z mocnym postanowieniem unikania możliwego zetknięcia się z obecną swą małżonką.

\* \* \*

Pani Malwina Strzycka zmartwiona zniknięciem męża, pocieszyła się myślą, że w dzisiejszych niespokojnych czasach każdemu zdarzyć się może, iż na pewien czas zostanie izolowany od reszty społeczeństwa. Gdy jednak przyszła wiadomość o śmierci Zenona, rozpacz zaczęła, bo pomimo, a może właśnie i z powodu swego krewkiego temperamentu, kochała go bardzo. Wszyscy mężowie wiedzą z doświadczenia, że żona z limfatycznym usposobieniem, to tylko taka ewangeliczna przyjemność.

Próżno rodzina próbowała wyperswadować młodej wdowie, że nie powinna żałować "takiego łajdaka", że czy później czy wcześniej musiałby umrzeć, że powinna cieszyć się raczej z tego, bo znajdzie sobie odpowiedniejszego męża.

Wuj jej, majątny a bezdzietny doktor Wonolecki, który najbardziej sprzeciwiał się wyjściu jej zamąż za Strzyckiego, dowiedziawszy się o jego śmierci uczynił na rzecz wdowy darowiznę z trzypiętrowej kamienicy w Alejach Ujazdowskich i 60 tysięcy, zahypotekowanych na podmiejskich dobrach.

Lecz i to nie mogło pocieszyć nieutulonej w żalu wdowy. Rodzina nalegać jednak zaczęła, by przez wzgląd na



hojny, zapis wuja jaknajprędzej wydobyla dowody, urzedo-  
wo stwierdzajace smierc Strzyckiego.

Namowiono wiec wdowe, by pojechała w tym celu sa-  
ma do New Yorku, dla pomocy zaś prawnej wyslano z nią  
dalekiego kuzyna, który przed kilku laty ukończył wydział  
prawny i dotychczas żadnej jeszcze sprawy nie prowadził.

Podróż wpłynęła zbawiennie na smutek Strzyckiej. Mo-  
rze ukofysało zbolale nerwy, a przytem kuzynek (choć nie  
wiedziala, w jakim stopniu są spokrewieni) staral się ją  
uspokoic. Trudno byłoby nawet okrešlic, czyja była wieksza  
zasługa: morza, czy teź młodego prawnika w tem, że Strzy-  
cka, wysiadłszy na stały ląd, pogodzyła się z losem...  
Tešno jej tylko było za Europą, a gdy kuzynek zbieral w  
urzędach potrzebne mu odkumenty, Malwina błądziła po  
ulicach miasta, przyglądajac się z zajęciem niezliczonym  
skwerom i trawnikom, na których dzieci zarówno jak i sta-  
rzy bawili się w pilkę, domom sięgajacym zdaję się do nie-  
ba i barwnemu tłumowi, uwijajacemu się w szalonym tań-  
cu życia.

Raz idac tak bez celu przez Houdson Street, spostrze-  
gła kroczacęgo ku niej meza. Na razie osłupiała, nagle je-  
dnak zapominajac o kuzynku i o świecie całym z krzykiem:  
"Zeniu, mój Zeniu!", rzuciła mu się na szyję.

Strzycki-Kentley, on to bowiem był w rzeczy samej,  
zglupiał, ujrzawszy Malwinę, lecz że drugie ożenienie się  
utrwalilo w nim ostatecznie wstręt do małżeńskiej instytu-  
cyi, rzekł z flegmą, jak przystalo na yankesa:

—What do you speak?

—I do not understand. Jestem William Kentle—rzekł  
z wolna po angielsku, akcentujac swoje nazwisko, a jednocze-  
śnie staral się uwolnić z objęć Malwiny.

—To być nie może, ja cię poznaję, nie puszcze cię!

Lecz Strzycki-Kentley wyrwal się wreszcie z jej objęć  
i zagadnął do zwabionych krzykiem gapiów:

—Czego chce odemnie tak kobieta?

—To mąż mój, łapcie go! trzymajcie, to oszust!

—Waryatka! mruknął przez zęby Strzycki—Kentley i  
zaczal się szybko cofac, Malwina zaś, biegnac za nim, nie  
przypuszczala, że pogorszy tem tylko swe połozenie. Nad-

szedł wkrótce policeman i wsadziwszy ją przy pomocy przechodniów do fiakra odwiózł do szpitala św. Jakóba...

\* \* \*

Dozorcy w szpitalach dla umysłowo chorych umieją się żyć z nimi i często znajdują u nich więcej rozsądku i uczucia, aniżeli u takich zwanych ludzi normalnych. Większą zaś niż gdzieindziej mają sposobność w New Yorku, gdzie ilość obłąkanych wzrasta z przerażającą iście amerykańską szybkością.

Dozorczyni Malwiny, mistress Luiza Kentley (gdyż porzucona przez męża musiała wrócić do dawnego zajęcia), była ze swej pacjentki bardzo zadowolona. Strzycka wpadła w apatyę, chodziła bezmyślnie po szpitalnym ogrodzie i modliła się, na wszelkie zaś zapytania o swej przeszłości nie odpowiadała. Mistress Luiza, chcąc ją ująć, poprosiła ją pewnego razu do swego pokoju na herbatę.

Gdy Strzycka weszła, rzucił się jej w oczy stojący na biurku portret... Zenona.

—Skąd pani masz portret mego męża?!—krzyknęła całkiem niespodzianie do dozorczyni i chwyciła za ramki.

—Ależ to jest mój mąż—rzekła łagodnie mistress Luiza.

Strzycka rzuciła się ku niej.

—Co, zwaryowałaś? Twój mąż? A, to tyś go sobie przywłaszczyła? tyś mi męża odebrała?...

Mistress Luiza przypuszczając, że chora dostała ataku furii, a wiedząc z doświadczenia, że taktyka lekarska nakazuje wówczas odwrót, dyskretnie usunęła się z pokoju, zamknąwszy za sobą drzwi. Za chwilę dwóch silnych posługaczy przeprowadziło Strzycką do osobnej, materacowanej celi...

\* \* \*

Stare przysłowie polskie mówi, że gdzie dyabeł nie może, tam babę pośle, przekonujące zaś tego dowody miał odczuć w kilka dni później Strzycki-Kentley.

Mistress Luiza po głębszej rozwadze, doszła do przekonania, że zajść musiało jakieś nieporozumienie. Udała się więc do celi, w której zamknięto Strzycką, a po godzinie rozmowy wyszły z niej obie z zaczerwienionymi od płaczu



oczami, trzymając się za ręce. Po krótkiej rozmowie z doktorem pojechały szpitalnym powozem niby na spacer, a w rzeczy samej w celu odszukania owego kuzynka, młodego prawnika...

\* \* \*

Zasępiiony siedział Strzycki-Kentley w pokolku swym na 112-em piętrze z kamienic przy Milwaukee Street. Szczupłe fundusze wyczerpywały się powoli, zajęcia zaś znaleźć nie mógł. Trudno było pójść za prostego robotnika do fabryki, miejsca zaś klerka nie chciano mu powierzyć z powodu niedostatecznej znajomości angielskiego języka.

Po spotkaniu Malwiny nie wychodził nawet na ulicę, chyba wieczorem. Bał się zetknięcia z którąkolwiek z żon. Smutna to rzeczywistość, mieć dwie żony, zwłaszcza nie wrogo usposobione. Wolałbym mieć jedną, lecz taką, któraby mnie unikała, myślał nieraz. Chyba znów do Europy drapnę!...

—Wtem ktoś zapukał.

Drzwi otworzyły się i do pokoju weszła Strzycka w towarzystwie kuzyna i dawnej Luizy Rockplayt, obecnej pani Kentley.

Przerażonemu widokiem obu żon naraz Strzyckiemu, wydało się, że usuwa się podłoga z pod nóg i dałby wiele, żeby to było rzeczywistością. Stał z bezradnie opuszczonymi rękami.

—Panie—zaczęła pierwsza mistress Luiza—wytlómacz nam pan, jak to można być jednocześnie Kentley'em, a wdług swej obecnej tu żony pańskiej, Strzyckim?

—Bo widzi pani... ja... to... właściwie chciałem powiedzieć... nie ja, a Kentley, ale to nie Kentley, tylko ja...

—Zrozumieć z tego nic nie jesteśmy w stanie, więc też zostawimy pana, panie Strzycki, albo jak wolisz mr. Kentley z pierwszą żoną pańską panią Strzycką, my zaś, to jest ja i kuzyn pańskiej żony wyjdziemy, a spotkamy się o 8-ej wieczorem w restauracyi "Simpson", na Washington Street, gdzie razem zjemy obiad i naradzimy się, co dalej czynić. Lecz niech go pani pilnuje, by się nie ulotnił i znów

się po raz trzeci nie ożenił, zmieniawszy poprzednio nazwisko!...

\* \* \*

Gdy Strzyccy wkroczyli do głównej sali restauracji "Simpson", zastali tam już przy jednym ze stolików mistress Luize, z kuzynkiem Strzyckiej. Te kilka godzin spędzone razem, zbliżyły ich z sobą i rozmawiali, jak dobrzy, starzy znajomi. Wkrótce podano wykwinny obiad. Mistress Luiza wciąż coś szeptała do ucha Strzyckiej, a gdy podano po deserze szampańskie, rzekła:

—Jak wynika cała ta historia, każdy z nas zdaje się, już wie, lub się domyśla. Ale to, co wie, niech zachowa wyłącznie dla siebie. Dość, że dzięki nieszczęsnemu Kentley'owi pani Strzycka odzyskała męża, do którego ja żadnych praw nie roszczę, bo przecież mężem mym w całym słowa tego znaczeniu jeszcze nie był...

—Kiedyż ja, jako Strzycki umarłem, a żyję jako Kentley...

—Nie pańska to rzecz—przerwała mu mistress Luiza.—Przywróceniem pana do życia zajmie się obecny mój narzeczony—dodała, wskazując wzrokiem na kuzyna Strzyckiej—który jednocześnie wyrobi mi rozwód z panem i wywindykuję spadek po Richardzie Kertley'u, gdyż właściwy jego spadkobierca, a mój niedoszły właściwy mąż, kilka dni temu, podczas karkołomnej jazdy na automobilu, kark skręcił. Powróćcie więc sobie państwo tu w New Yorku miodowe miesiące, a gdy ukończymy wszystkie formalności, odwieziemy was, udając się w poślubną podróż do Europy...

—Tak, panie—potwierdził kuzynek Strzyckiej—my, (tu stuknął się w okolicę żołądka), adwokaci, wszystko możemy: z żywego zrobić umarłego, a z umarłego żywego...  
Główna rzecz honorarium!...

## · NOMEN NON EST OMEN.

Ilekróć razy w Czechach, zawsze pracowałem nad tem, aby się Czesi z Niemcami pogodzili. Być może, że ktoś mą prace nazwie trudem Syzyfa, który chce marną swą siłą dźwigać w górę skalę Tatr, postawić Giewont



na Garłuchu — niechże ludzie mówią co chcą, słowa mnie od czynu nie odstraszyły. Odpowiadałem ludziom, że gdyby tysiące robiło to samo, co ja, zgoda czesko-niemiecka byłaby niedługo faktem dokonanym. Praca moja była kropla, czas i dobra wola ludzka zmieni ją w morze. Dziś ufność mą i wiarę straciłem, godzenia Czechów z Niemcami zaprzestałam. Stało się to z następujących powodów.

\* \* \*

Gdym przybył do jednego z dwujęzycznych miast północnych Czech, zacząłem bezwzględnie moje apostołstwo. Prosto z hotelu poszedłem w miasto, aby złożyć wizyty ludziom zajmującym ważne stanowiska społeczne i agitować wśród nich na rzecz mojej idei. W samym rogu rynku dom ozdobny, na domu złota tablica, na tablicy napisane: "Jaroslav Priskocil, notaryusz". Wszedłem do biura. Natychmiast przystąpię do rzeczy. A trzymać się będę zwykłej mojej metody. Zawsze sprawę zgody chowam na ostatni plan, rozpoczynam zaś od schlebiania narodowej dumie, nie waham się nawet uderzyć w dzwon skrajnego szowinizmu. I teraz tak zacznę. Przedemną jest notaryusz Jaroslav Priskocil... Przecie notoryczny Czech. Nietylko nazwisko jego Priskocil świadczy o tem, ale i fizyognomia, ta nasza słowiańska twarz. Rzekłem po czesku:

—Dzień dobry panu Cieszę się, że mogą złożyć uszanowanie drogiemu pobratymcowi. Przyszedłem do pana, aby zacisnąć węzły braterstwa słowiańskich narodów. Bo zwycięstwo słowiańszczyzny jest tylko kwestyą chwili. Zabrali nam połabską ziemię, my ich na Łabę wnet wyrzucimy. Wyrzucimy Niemców z Czech, Morawy, Ślązka, wytepiemy Łużycach, oczyścimy z nich Meklemburg i Rugię.

Jaroslav Priskocil powstał. Widzę jak krew napływa do jego na wskroś słowiańskiej twarzy.

Zacisnął pięście:

—Herr Gott verfluchter Bagaż, slavisches Gesindel Kyryelejson, Alleluja!

Rzucił się na mnie, chwycił mnie z kołnierza i wyrzucił za drzwi. Bo ten Jaroslav Priskocil był jednym z najbardziej zażartych szowinistów niemieckich.

10  
f

Dla idei trzeba cierpieć, ja cierpię i nie zrażam się niepowodzeniami. Mimo niepowodzenia trudzę się dalej. Koło "Narodowego Domu" jest złota tablica. Na tablicy napisane: Rudolf Knechtuber, adwokat. Wszedłem natychmiast do adwokackiego biura. Cóż za wspaniały typ Niemca ten Knechtuber! Niebieskie oczy, czerwona twarz, długa, czerwona jak promień broda, wykapany krzyżak, którego na Grunwaldzie Matejki Tatar na stryczek złapał. Mówię po niemiecku:

—Dzień dobry panu, panie Knechtuber. Sprawia mi to prawdziwą przyjemność, że poznaję dzielnego przedstawiciela narodu Germanów. Jestem pełnym szacunku dla wielkiego narodu, imponuje mi olbrzymi geniusz niemieckiego Vaterlandu. Dobrze powiedział sławny na cały świat dramaturg, cesarz Wilhelm II, że Niemcy są solą ziemi, genialnie schara kteryzował: König Preussen, Deutschen voran, Preussen, Deutschen voran, Deutsche Menschheit voran. Tak jest Niemcy są kwiatem narodów, Niemcy są pochodnią, za którą ludność idzie. Przekleństwo tym, którzy chcą Germanii zedrzyć wieniec laurowy z białego czoła, ona stratu je wszystko co niemieckiej ojczyźnie na drodze stoi...

Słowa moje zamroził wzrok Rudolfa Knechtubera. Z czerwonego stał się on purpurowym. Zerwał się z krzesła na równe nogi.

— Hrom a pekło!!

Pyta się adwokat syczącym głosem:

— Iste Vy nemeć?!

— Ubóstwiam niemczyznę.

Rzucił się Knechtuber, po pokoju czegoś szuka, na etażerze stał wazon z palmą.

— Ty sakramentska potworo, ty nemecka cholera zabil, że by te wsecky dabli wzali.

Rozbił Knechtuber wazon na mej głowie, szuka kija, kija nieznalazł, oderwał więc nogę od stołu.

Połamiał mi kości. Bo ten Rudolf Knechtuber, to był nieprzejednany czeski radykał.

Trzy tygodnie leczyłem się w szpitalu. A przez ten czas przyszedłem do przekonania, że lepiej nie kłaść palca między drzwi....



Biblioteka Główna UMK



300049520600

*Andrzej Kłossowski*

Biblioteka  
Główna  
UMK Toruń

1264892

Biblioteka Główna UMK



300049520600